

Koronawirus w Zastalu

Klub ma przymusową przerwę w rozgrywkach. O sytuacji w zespole rozmawiamy z prezesem Januszem Jasińskim **str. 32**



Wspominamy Grażynę

W wieku 74 lat zmarła Grażyna Wojciechowska, wieloletnia radna Gorzowa i społeczniczka. Od kilku dni żegnają ją i wspominają tysiące ludzi. **str. 4**

Syndrom gotowanej żaby

O Władimirze Putinie i syndromie gotowanej żaby pisze dla nas Kazimierz Dadak, profesor ekonomii, Hollins University, USA **str. 14**

Sobota-niedziela
8-9 stycznia 2022
Nr 5 (21.396)
3,90 ZŁ W TYM 8% VAT

magazyn GAZETA LUBUSKA

rok założenia 1952

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



Ma piękną żonę, synka, medale mistrzostw świata, cztery fakultety, wymarzoną pracę. Ma przyjaciół, książkę na koncie i pełno pomysłów na życie. Marcin Ryszka nie jest pewien, czy chciałby odzyskać wzrok/**16**

Wilki coraz bliżej naszych domów



FOT. LUKASZ SZEWCZYK

Środek dnia, spory ruch, a pomiędzy domami wilk. To ostatnio częsty widok w kilku podgorzowskich miejscowościach. Choć obecność tych zwierząt w lubuskich lasach nie jest żadną nowością, to nowe jest to, że drapieżniki coraz bliżej i śmieiej podchodzą do ludzkich siedzib. I wcale nie boją się bliskiego kontaktu z człowiekiem.

W ostatnim czasie wilki pojawiły się między innymi na terenie gminy Deszczno. Były widziane w pobliżu domów w kilku miejscowościach. Na mieszkańców padł błąd strach, bo takich nietypowych sąsiadów dotąd w swojej okolicy nie spotykali. Do urzędu gminy w ostatnich dniach trafiła informacja o zagryzionym psie. Podejrzanie padło właśnie na wilki.

Dlatego władze gminy przestrzegają mieszkańców. Bliskie spotkanie z wilkiem przeżył prezydent Gorzowa - Jacek Wójcicki, który jest mieszkańcem gminy Deszczno. Drapieżnik przechadzał się po jego podwórku. Potem spokojnie się oddalił.

CZYTAJ STR. 9

Cuda, cuda ogłaszają

Janusz Życzkowski
redaktor naczelny
jzyczkowski@gazetalubuska.pl



Komentarz

Tego jeszcze nie było! Na naszym redakcyjnym balkonie pojawił się najprawdziwszy anioł. Z wysokości pozdrowiał mieszkańców, sygnując na nich biały puch, którego akurat w Trzech Króli zabrakło.

No dobrze, nie była to prawdziwie nieziemska istota, ale dla wielu sam fakt, że pojawiła się akurat w tym miejscu, może trącić o cud. Podobnie jak to, że na swoim profilu w mediach społecznościowych prezydent Zielonej Góry podziękował pani marszałek. Wprawdzie nie wiadomo za co, niemniej

w kontekście ostatnich, znacząco chłodnych relacji, jest to gest wart odnotowania. Cudem zdaje się również to, że marszałek posłuchała innych i postanowiła zmienić swojego rzecznika. Internetowy hejter nie będzie już twarzą władz samorządu województwa lubuskiego. Trzeba za ten krok pochwalić, choć to raczej zdrowy rozsądek niż cud. Niezwykłością jest za to fakt objęcia przez panią marszałek patronatem orszaku, w którym udział wzięły tysiące katolików. W kontekście jej wcześniejszych aktywności, w tym tych jawnie wrogich Kościołowi, to prawdziwy cud! Czy to trwała tendencja? Czas pokaże. Cudownie rozmnażają nam się także środki w ramach rządowego programu Polski Ład. Wojewoda właśnie ogłosił drugi

nabór do programu, który ma zaczarować naszą rzeczywistość. Na razie oczarował samorządowców, którzy ustawili się w kolejce po wielomilionowe czeki, my czekamy na efekty prac i nowe inwestycje. Cudów nie chcemy, tylko żeby droga była prosta, kanalizacja sprawna, a internet był pod każdą strzechą. Tyle w kwestii niezwykłości przełomu roku. Jeśli ta dynamika się utrzyma, w 2022 będziemy mieli o czym mówić i o czym pisać. Jedne z ciekawszych życzeń, które usłyszałem ostatnio, dotyczyły poczucia humoru, który pozwala z dystansem spojrzeć na naszą rzeczywistość. To dobre życzenie, dlatego przekazuję je Państwu na Nowy Rok wraz z zapewnieniem, że o cudach w Lubuskiem od nas dowiecie się Państwo najwięcej.

W OBIEKTYWIE



FOT. MARIUSZ KAPALA

To nie jest wcześniejszy śmigus-dyngus. W święto Trzech Króli na Dzikiej Ochli w Zielonej Górze odbyło się królewskie morsowanie ze zbiórką pieniędzy dla chorej na raka Moniki

Pogoda w regionie

Po upalnym wręcz sylwestrze wracają chłody, a z nimi nasza tygodniowa prognoza pogody. Chłody. Niekoniecznie zima, bo na razie się nie zanosi na to, żeby sypnęło śniegiem. Ale kto go tam wie. Może nas zaskoczy.

W poniedziałek chmury. Dwa stopnie. W nocy - bliżej zera. We wtorek takie niby ma być słońce. I jeden stopień Celsjusza. Minus trzy w nocy. Środa bardziej zachmurzona. Minus dwa. W nocy minus cztery. W czwartek trochę słońca. Minus jeden. W nocy minus pięć. W piątek prawie bezchmurnie. Trzy stopnie Celsjusza za dnia. Minus dwa w nocy. W sobotę podobnie, tylko trochę chmur. W niedzielę nieco cieplej. W poniedziałek zaś aż siedem stopni. Śnieg dopiero za dwa tygodnie. Zobaczmy. (dryn)

Sobota

2°C
-1°C



porywy do 12 km/h

Barometr
1012 hPa
Wiatr
7 km/h

Niedziela

3°C
-1°C



porywy do 40 km/h

Barometr
1026 hPa
Wiatr
18 km/h

Poniedziałek

2°C
0°C



porywy do 12 km/h

Barometr
1022 hPa
Wiatr
7 km/h

W TYGODNIU



FOT. MARIUSZ KAPALA

SZŁY ORSZAKI TRZECH KRÓLI

Region

W Zielonej Górze orszak przeszedł już 11. raz. Widowisko w tym roku oparto na „Szopce krakowskiej” Stanisława i Tadeusza Estreicherów.

W Gorzowie Orszak Trzech Króli przeszedł od katedry na Stary Rynek. To była już ósma edycja. Tak jak w poprzednich latach było w nim wiele nawiązań do historii.

...I „STALOWY MIKOŁAJ”

Krosno Odrzańskie

W nocy z wtorku na środę zawałił się ogromny fragment ściany wschodniego skrzydła Zamku Piastowskiego w Krośnie Odrzańskim. Sam zamek z każdym mijającym tygodniem jest w coraz gorszym stanie. Już w zeszłym roku konieczna była instalacja odpowiedniego zabezpieczenia, aby część ścian nie runęła. Po tym jak zawałiła się ściana zewnętrzna, zagrożona jest równoległa do niej ściana wewnętrzna skrzydła. Została odsłonięta i narażona na działanie wiatru oraz deszczu.



FOT. UM W KROŚNIE ODRZAŃSKIM

0010378486

Dostarczamy codziennie do Twojego domu

Zamów prenumeratę



68 381 70 52
od poniedziałku do piątku w godz. 9:00-15:00



prenumerata@gazetalubuska.pl

GAZETA
LUBUSKA

prenumerata.gazetalubuska.pl

W poniedziałkowym Magazynie Sportowym:

- Czy **koszykarki z Gorzowa** wygrały w Lublinie i przedłużyły serię zwycięstw?
- Jaki był **żużlowy sezon 2021** i co czeka nas w 2022?
- Co z formą **polskich skoczków narciarskich** miesiąc przed igrzyskami olimpijskimi?



O kryzysie i nadziei chrześcijańskiej cywilizacji



Andrzej Pierchała

Czytam więc jestem

Autorem tej głębokiej, syntetycznej i błyskotliwej analizy wydanej jeszcze w ubr. przez krakowskie wydawnictwo Biały Kruk pod wielce symbolicznym tytułem „Katedra i uniwersytet” jest prof. Grzegorz Kucharczyk. Związany rodzinnie z Gorzowem, a ostatnio również (co odnotowuję z prawdziwą satysfakcją) zawodowo, jako prorektor d/s nauki gorzowskiej Akademii Jakuba z Paradyża, obok m.in. Polskiej Akademii Nauk czy Collegium Intermarium, jest też autorem znaczących, popularnych i głośniejszych pozycji wydawniczych jak m.in. „Hohenzollernowie”, „Wersal 2019...”, „Chrystofobia...”, czy „Prusy. Pięć wieków”. W dobie demolowania humanistyki przez ponowoczesnych „naukowców”, i to na czcigodnych uniwersytetach, autor nie boi się powiedzieć wprost, że mamy do czynienia z czystą głupotą. Rozjaśnia umysły i wykazuje marność fundamentów zgenderyzowanej nauki. Utopijny gmach budowany na takich fundamentach w pewnym momencie musi runąć z hukiem- oczywiście na nasze głowy. Autor włącza



FOT. WYDAWNICTWO BIAŁY KRUK

się w nurt głosów rozsądku ludzi dowodzących, że współczesna narracja medialna oraz historyczna idą wbrew prawdzie i wolności. Wykazuje, iż kryzys wiary zawsze pociąga

za sobą kryzys rozumu. Cóż stało się z człowiekiem, że posługując się wyszukany aparatem naukowym, uznaje się np. Billa Clintona za pierwszego czarnego prezydenta

USA, Sokratesa za Murzyna, a Arystotelesa za złodzieja (sic!) - bo tak jest to dzisiaj przedstawiane i nauczane na wielu, zdawało by się poważnych uniwersytetach! Na te i wiele innych prowokacyjnych zagadnień, na agresywnie szerzący się nihilizm i relatywizm znajdziemy odpowiedź w tej publikacji. W nienagannej edytorsko i plastycznie, pięknie i bogato ilustrowanej książce prof. Kucharczyk nie poprzestaje bowiem tylko na diagnozie. Podsuwa także odpowiedzi na pytanie co dalej? Okazuje się, że to właśnie w Polsce może obudzić się ruch, który zastępuje ponowoczesne szaleństwo. Mamy ku temu wszystkie potrzebne narzędzia i kadry- dowodzi prof. Kucharczyk. Na 351. stronach bogato i celnie ilustrowanych (ponad 100 barwnych ilustracji) m.in. reprodukcjami znanych i nieznanymi lub też zapomnianymi dzieł malarstwach, w sześciu rozdziałach autor przeprowadza ową analizę, której mottem wydają się być myśli Chestertona: „Kto nie wierzy w Boga, uwierzy we wszystko”. W każdą bzdurę - dodaje autor. Poleca zatem, nie tylko ze względów edukacyjnych.

Grzegorz Kucharczyk, Katedra i uniwersytet. O kryzysie i nadziei chrześcijańskiej cywilizacji, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2021 r.

PIT-2 gwoździem do trumny PiS-u?



Marcin Kędzierski
redakcja@gazetalubuska.pl

Polski system podatkowy cierpi na wiele chorób. Niestety ze względu na brak ogólnodostępnych danych ciężko jest je dołącznie zdiagnozować.

Wyjątkiem jest podatek dochodowy od osób fizycznych - tu za sprawą raportów publikowanych od kilku lat przez Ministerstwo Finansów wiemy, że najpoważniejszym problemem jest rozłożenie obciążeń. Najubożsi płacą relatywnie wyższe podatki, niż lepiej zarabiający.

Niesprawiedliwość systemu podatkowego utrzymywała się przez wiele lat i nikt nie chciał tego ruszyć. Powód jest prosty - zarówno media, jak i sama polityka, są uzależnione od pieniędzy, a te są w posiadaniu biz-

nesu, który na tej niesprawiedliwości korzysta. Dlatego z dużym zdumieniem przyjąłem przedstawione wiosną 2021 roku propozycje reformy systemu podatkowego. Jej twórcy mieli sprytny plan - wyrównanie poziomu obciążeń miało się dokonać poprzez zmianę sposobu naliczania składki zdrowotnej. Skoro w czasie pandemii postulat podwyższenia publicznych nakładów na ochronę zdrowia cieszył się społecznym poparciem, taki fortel mógł się udać. Trzeba sobie powiedzieć wprost - istnieje wiele prostszych sposobów osiągnięcia wspomnianego celu, ale możliwe, że ten ze składką zdrowotną był jedynym politycznie realnym. Tym bardziej, że na zmianach miało skorzystać prawie 70% podatników, a koszty zmian miały dotknąć wyłącznie 10% najbogatszych.

Już po kilku dniach od ogłoszenia propozycji stało się jed-

nak wiadomym, że ten chytry plan się nie uda. Grupy interesu rozpoczęły frontalny atak w mediach: na podatkowych zmianach zaproponowanych w Polskim Ładzie stracą wszyscy podatnicy. A ponieważ konstrukcja reformy nie jest łatwa do zrozumienia, udało się im przekonać Polaków, że zostaną zrobieni w „polski wał”. Rząd liczył jednak, że po wejściu zmian w życie zdecydowana większość z nich zobaczy na swoich kontach więcej pieniędzy.

Liczył, ale się brutalnie przeliczył, bo z jednej strony w trakcie prac parlamentarnych skomplikowano system, a z drugiej strony nie dopilnował szczegółów. Nawet najzagorzalsi krytycy Polskiego Ładu nie wpadli bowiem na to, że część Polaków nie ma złożonych deklaracji PIT-2, co sprawia, że ich pensje od stycznia są niższe o 100-200 złotych. To nic, że dostaną je

z powrotem, i to z nawiązką (!), przy rocznym rozliczeniu podatkowym. Rząd obiecywał, że na zmianach stracią tylko najbogatsi, a tu ludzie z przerażeniem odkrywają, że styczniowe przelew są mniejsze niż w grudniu. Oczywiście Rząd będzie naprędce łątać zmiany, ale wydaje się, że reforma jest w sensie wizyjnym nie do uratowania. Polski Ład, który miał pomóc PiS odzyskać społeczne poparcie, może okazać się dla niego gwoździem do politycznej trumny.

Z perspektywy publicznej gorsze jest jednak co innego - po tej porażce nikt nie odważy się tykać systemu podatkowego, i to przez wiele lat. Podobnie jak w przypadku podwyższenia wieku emerytalnego przez rząd PO-PSL - konieczna reforma, ale przeprowadzona w zły sposób, na lata zamknęła okno możliwości dla wprowadzenia niezbędnych zmian.

Zacząć prawą

ks. dr Piotr Bartoszek
dyr. IFT im. Edyty Stein
w Zielonej Górze



Nie przyszedłem pana nawracać

Raczej nie należę do osób przesądnych, ale dobrze wiem, co znaczy wstać lewą nogą. Zły humor od samego rana zawsze ma jakieś podłoże i właśnie tam, u początków, trzeba by szukać jego przyczyn. I zazwyczaj noga nic tu nie jest winna: o wszystkim decyduje nasze początkowe nastawienie, które później warunkuje wszystko inne, odmienia się przez przypadki, deklinuje w poszczególnych zdarzeniach dnia. Ten pierwszy krok często warunkuje wszystkie kolejne. Zwłaszcza jeśli jest to krok niewłaściwy, zrobiony „nie tą” nogą. Mam wrażenie, że wielu wstało lewą nogą. Nie chodzi tu o nastrój, który im chwilowo towarzyszy. Ale o trwałe wewnętrzne usposobienie, o nastawienie wobec życia. O ten pierwszy krok, często nieuświadoma-

miany, który później przejawia się w każdej decyzji, akcie, działaniu. Tak jak byśmy nie tylko raz, ale ciągle wstawali nie tą nogą, co trzeba.

Może i wielu chrześcijan wstało lewą nogą. I niby żyją z Bogiem, ale wciąż pod ciemną chmurą. W nieustannie powracającym poczuciu przymusu, obojętności, winy. I gdyby chcieli opisać, czego chce od nich Bóg, to aż by się roilo od czasowników „musisz”, „powinieneś”, „nie wolno”. Jeśli taki tożsamość, fundament Jestem niewierzący. Ale na szczęście nie takiego Boga poznałem. Nie takiego Boga poznaliśmy.

W scenie chrztu nad Jordaniem wychodzący z wody Jezus słyszy z nieba głos: „Ty jesteś moim Synem umiłowanym, w Tobie mam upodobanie” (Łk 3, 22). Tu jest Jego tożsamość, fundament Jego świadomości, od tego też zaczyna się Jego misja. Tak się wstaje prawą nogą: zaczynając od chrztu, od Ojca, od tego, kim jestem dla Niego. I wtedy już pójdziesz właściwie.

Zakażenia bez zmian. Coraz więcej zgonów

COVID-19

Spadek zakażeń już za nami. Średnia infekcji w Lubuskim stoi w miejscu. Niestety, jest bardzo dużo zgonów.

Z końcem minionego roku skończyły się optymistyczne wieści dotyczące przebiegu pandemii w Lubuskim.

Od 31 grudnia średnia infekcji praktycznie stoi w miejscu. Efekt mamy taki, że w czwartek, gdy zamykaliśmy to wydanie „Magazynu GL”, wskaźnik zakażeń wynosił 29,25 os. na 100 tys. mieszkańców. Był on niewiele niższy od tego, który mieliśmy siedem dni wcześniej (30 grudnia było 29,71 os.).

Zła informacja dotyczy też liczby zgonów. W tygodniu 31 grudnia - 6 stycznia odnotowano w naszym regionie aż 162 zgony związane z COVID-19. W ciągu tych siedmiu dni aż dwa razy padał rekord dotyczący liczby zgonów! Najpierw 31 grudnia dowiedzieliśmy się o 41 zgonach, a w czwartek 6 stycznia aż o 50! Od początku pandemii do ostatniego czwartku w Lubuskim z powodu koronawirusa zmarło

już 2595 osób. Zakażeń stwierdzono 104 875,

W związku z tak dużą liczbą zgonów żadnym powodem do optymizmu nie jest więc malejąca stopniowo liczba hospitalizowanych zakażonych. W ostatni czwartek w lubuskich szpitalach było 538 osób z koronawirusem, z których 34 były podłączone do respiratora. Dla porównania: w ostatni czwartek starego roku było 589 hospitalizowanych.

Wskaźniki zakażeń (dane z czwartku): powiat sulęciński 41,28, ślubicki 40,04, świebodziński 36,10, nowosolski 33,65, międzyrzecki 31,53, strzelecko-drezdenecki 30,08, gorzowski 29,97, zielonogórski 28,38, żagański 28,18, Zielona Góra 27,70, Gorzów 26,29, pow. żarski 25,80, krośnieński 21,74, wschowski 16,44.

Gminy, w których jest najwięcej w pełni zaszczepionych to: Ślubice 64,5 proc., Łęknica 62,8 proc., Zielona Góra 62,2 proc., Sulęcinek 61,7 proc., Rzepin 61,5 proc.

Gminy, w których jest najmniej w pełni zaszczepionych: Kolsko 45,3 proc., Niegosławice 46,5 proc., Szlichtyngowa 46,6 proc., Szczaniec 48,3 proc., Wschowa 49,1 proc.

Grażynkę znał prawie każdy

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl



W wieku 74 lat zmarła Grażyna Wojciechowska, wieloletnia radna Gorzowa i społeczniczka. Od kilku dni „kolorowego gorzowskiego ptaka” żegnają i wspominają tysiące ludzi. Pogrzeb odbędzie się w najbliższy poniedziałek.

Drugiej takiej pani Grażynki nie będzie - uważa pani Jolanta. - Dla niej nie było spraw nie do załatwienia - pisze z kolei pani Joanna. - To historia Gorzowa, kobieta-żywiół. Smutny mamy początek nowego roku - mówi natomiast pani Agnieszka. Te głosy to tylko niewielki wycinek z ogromu komentarzy, jakie pojawiają się od poniedziałkowego popołudnia. 3 stycznia w Gorzowie, w wieku 74 lat, zmarła Grażyna Wojciechowska. Była radną, społeczniczką, przez wiele lat związana z oświatą. Zнали ją niemal każdy mieszkaniec Gorzowa. Jej śmierć była szokiem dla wielu. Gdy kilka godzin po jej śmierci przeglądał ktoś portale społecznościowe, posty związane ze śmiercią Grażyny Wojciechowskiej stanowiły około 80-90 procent. Wspominały ją nie setki, a tysiące ludzi!

- Wciąż nie mogę uwierzyć... Przecież to przed momentem głosowaliśmy nad budżetem, wymienialiśmy uwagi podczas grudniowej sesji rady miasta. Dziś już zapewne w innej sesji uczestniczysz, tej najwyższe z wysokich, na niebiańskim szczyblu - pisał też prezydent miasta Jacek Wójcicki.

Radną była „od zawsze”

Większość gorzowian Grażynę Wojciechowską znała jaką miejską radną. Nic dziwnego. Dostała się do niej ponad 27 lat temu i zasiadała nieprzerwanie aż do końca. Jeszcze 12 dni przed śmiercią, wyraźnie osłabiona, przyszyła na sesję rady miasta, by zagłosować nad tegorocznym budżetem miasta.

Zanim została radną miejską (była też radną wojewódzką w dawnym Gorzowskiem), Wojciechowska była nauczycielką. Została nią po studiach na poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Wstąpiła na nią jako absolwentka gorzowskiego liceum przy ul. Przemysłowej (zawsze mówiła o sobie „dziewczyna z Zawarcia”).



Grażyna Wojciechowska. 21 lipca 1947 - 3 stycznia 2020

Uczniowie się za nią oglądali

Jak wspomina Jan Kaczanowski, przewodniczący rady miasta i przyjaciel Wojciechowskiej, po studiach wróciła ona w progi swojego ogólniaka, w którym od 1970 r. uczyła wuefu.

Jeszcze w latach 70. Wojciechowska zaczęła pracować w gorzowskim Zespole Szkół Elektrycznych.

- Byłem jej uczniem przez pięć lat w Elektryku - wspomina Jacek Bachalski, były poseł i senator z Gorzowa. - Pamiętam ją jako seks bombę. Oglądaliśmy się za nią z chłopakami, bo była zgrabna i wysportowana - mówi GL Bachalski.

- Grażyna uprawiała biegi przez płotki - dopowiada Barbara Zajbert, szefowa gorzowskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego, w którym przez wiele lat działała także Wojciechowska.

Co za wuefistka!

- Jako nauczycielka pani Grażyna była jak kochający ojciec. Była surowa, ale kochająca. Potrafiła na nas wrzasnąć, ale gdy uczniowie byli w potrzebie, to do niej się szło z prośbą po pomoc. Nie zapomnę, jak pomogła nam w stanie wojennym. W czasach, gdy był zakaz

zgromadzeń dla grup większych niż kilka osób, my w około trzydzieści osób poszliśmy do parku na wagary i groziło nam za to wydalenie ze szkoły. Pani Grażyna wstała się za nami i do tego nie doszło - opowiada nam Bachalski, który do gorzowskiego Elektryka chodził w latach 1978-1983.

„Grażyna była wszędzie”

Gorzowianie zapamiętają Grażynę Wojciechowską jako osobę o stanowczym i - nie ukrywajmy tego - nie przyjmującym sprzeciwu głosie. Gdy gdzieś wchodziła - a dodajmy, że lubiła się pojawiać na wielu imprezach - trudno było tego nie zauważyć, a także... nie usłyszeć.

- Grażyna była wszędzie. Robiła zawsze dużo zamieszania - wspomina Tadeusz Jędrzejczak, były prezydent Gorzowa.

- Pamiętam, że w latach 80. wchodziła ona do siedziby związku i spod blond loków było słychać: „Oto jestem” - dodaje B. Zajbert z ZNP.

- Ze względu na cechy osobowości Grażyna Wojciechowska dała się poznać bardzo szybko - wspomina z uśmiechem Henryk Maciej Woźniak.

Z „Grażynką” łączy go rok 1994. Wojciechowska została wtedy radną, a on zostawał wtedy prezydentem Gorzowa.

- Pamiętam sesję kilka lat później, gdy mnie odwołano. Domagało się tego ugrupowanie Wojciechowskiej (miała ona lewicowe poglądy, była wtedy w klubie SLD - dop. red.). Wojciechowska jednak potrafiła wstać i powiedzieć, że to niegodziwość - wspomina były prezydent Gorzowa. Dodaje, że dla Wojciechowskiej nie były ważne barwy polityczne czy klubowe. Doskonale widać to było w ostatnich latach...

Weszła nawet z PSL-u

W 2010 r. do rady miasta dostała się z Komitetu Wyborczego Wyborców Tadeusza Jędrzejczaka. A gdy w trakcie kadencji drogi radnej i ówczesnego prezydenta się rozeszły, w 2014 r. Wojciechowska wystartowała do rady z list... PSL-u i jako jedyna reprezentantka tego ugrupowania weszła do rady. I wtedy, i przy innych okazjach mówiła jednak, że jest radną niezależną. Jesienią 2018 była już na listach KWW Jacka Wójcickiego i osiągnęła trzeci rezultat w mieście. Zagłosowały na nią 1564 osoby.

Więcej głosów w całym mieście mieli tylko Robert Surowiec i prezydent Wójcicki, który po reelekcji nie przyjął, oczywiście, mandatu.

- Grażyna Wojciechowska lubiła postawić na swoim. Zawsze będę pamiętał, jak walczyła o to, by działało się lepiej w gorzowskiej oświacie, by nauczyciele mieli lepiej. Była też bardzo uczuciowa. Jeśli poznała jakąś złą sytuację w jakiejś rodzinie i trzeba było pomóc, domagała się, by to było spełnione - mówi nam T. Jędrzejczak.

O pomaganiu mówi też Jacek Wójcicki, obecny prezydent: - Jestem pewien, że tam, dokąd się udałaś, Droga Pani Grażynko, już ustawia się do Ciebie kolejka z prośbą o pomoc. Bo Ty pomocy nigdy nikomu nie odmawiałaś - wspominał w ostatnią środę.

- Pamiętam czas sprzed 25 lat, kiedy to założyłem z przyjaciółmi pierwszą w Gorzowie stołówkę im. Brata Krystyna. Było to przy parafii Pierwszych Męczenników Polski. Grażynka była już wtedy radną. Bardzo ciężko było tę stołówkę prowadzić, a kiedy już nie było znikąd pomocy, to wówczas dzwoniłem do Grażynki. Coś zawsze załatwiła do stołówko-

wej spiżarni. Była bardzo skuteczna w swoich społecznych działaniach - wspomina w Echu Gorzowa Augustyn Wiernicki, prezes Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna.

W pomocy innym Wojciechowska realizowała się też w prowadzonej przez siebie fundacji Czysta Woda. Latem organizowała wakacje dla dzieci z rodzin biednych i wykluczonych, przy okazji świąt organizowała paczki żywnościowe. Co roku też współorganizowała kolejne finały Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

- Potrafiła zebrać wokół siebie grono darczyńców czy sponsorów, którzy na jej prośbę nie potrafili odmówić - słyszymy od kilku z naszych rozmówców. - W tej sprawie była niemal jak czołg. Cel jednak uświęca środki - mówi.

Pogrzeb w poniedziałek

Ostatnie pożegnanie Grażyny Wojciechowskiej odbędzie się w poniedziałek 10 stycznia.

O 12.00 w gorzowskiej katedrze, gdzie będzie wystawiona urna z prochami, zostanie odprawiona msza święta pogrzebowa. O jej oprawę zadbają aktorzy Teatru Osterwy i uczniowie II Liceum Ogólnokształcącego. Po mszy urna zostanie przewieziona do kaplicy Products obok cmentarza przy ul. Żwirowej. Dla uczestników uroczystości będzie przygotowany transport na cmentarz. Będą też dodatkowe autobusy linii 111, które po mszy zabiorą żałobników z przystanku przy katedrze pod drugą bramę cmentarza.

Ceremonia w cmentarnej kaplicy rozpocznie się o 14.00. Po niej kondukt żałobny wyruszy na miejsce pochówku. Ponieważ można spodziewać się, że na pogrzeb przyjdą tłumy ludzi, kondukt z kaplicy przejdzie nie między grobami, a ulicą Żwirową i przez główną bramę cmentarza. W trakcie uroczystości pogrzebowych o oprawę muzyczną zadba kwartet smyczkowy Dawida Pajdzika z Filharmonii Gorzowskiej oraz Gorzowska Orkiestra Dęta. Po pogrzebie autobusy linii 111 zostaną podstawione na przystanku przed drugą bramą cmentarną.

Na drugi dzień po śmierci radnej krótko, ale pięknie Grażynę Wojciechowską pożegnał też radny i mecenas Jerzy Synowiec. - Mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Ta zasada w Twoim przypadku chyba się nie sprawdzi.

Wyburzonko

Marcin Kędryna



Neofita lubuski

1.

Henryk Brodaty dobrze mi się kojarzy. Po pierwsze dlatego, że brodaty. Po drugie - na dokumencie, przez niego podpisanym pojawia się po raz pierwszy nazwa mojej wsi. Co prawda, niektórzy

mówią, że dokument ten sfałszowany jest przez trzebnickie cysterki, ale nawet gdyby to była prawda - i tak jest tam podpis Brodatego Henryka a nie jakiegoś innego księcia.

Henryk Brodaty zmarł 19 marca 1238, na zamku w Krośnie Odrzańskim. Żeby na tym zamku umrzeć, trzeba było ten zamek zbudować. No i zbudował. Później zamek był rozbudowywany, atakowany, broniący, prze-

budowywany. Przyszł w końcu pamiętny rok 1945, w którym towarzysze radzieccy potraktowali piastowski zamek, jak element germańskiego dziedzictwa i wykonali próbę zrównania go z ziemią.

Próbę na tyle nieskuteczną, że było co w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych zabezpieczać.

Na przełomie wieków rozpoczęto odbudowę zamku. Viribus unitis - że tak po austrowęgiersku powiem - udało się połowę odbudować. Viribus unitis, bo za pieniądze Ministerstwa Kultury i krośnieńskiego samorządu.

2.

Od lat, krośnieński ratusz szukał kasy. Unijnej, ministerialnej, z Funduszy Norweskich, teraz z Polskiego Ładu. Na pełną odbudowę zamku potrzebuje z pięćdziesiąt milionów. Ostatnio dostał z Minister-

stwa Kultury, piętnaście. Tak się jednak skoncentrowali na tym poszukiwaniu pieniędzy, tak im wizja zbudowanego na nowo zamku zajęła głowy, że nie zabezpieczyli tego, co zostało i się to coś częściowo, w nocy z niedzieli na poniedziałek, zawaliło. Konkretnie: ściana wschodniego skrzydła. A w związku z tym, że się zawaliła jedna, zaraz się może zawalić druga. Bo ta pierwsza tą drugą od wiatru osłaniała.

Swoją drogą Ministerstwo Kultury ma osobną kupkę pieniędzy na zabezpieczanie walących się za-

bytków. Wystarczy tylko o nie poprosić.

3.

Chyba, że się nie chce. Lepszą zabawą jest przecież budowanie za pięćdziesiąt baniek, niż stawianie podpór za kilkadziesiąt tysięcy.

Choć jeszcze lepszą zabawą jest - jak w Krakowie, dziewiętnastowiecznego wiaduktu nad ulicą Dietla - wykreślenie z rejestru za- bytków i wyburzenie. I wybudowanie na nowo.

Zamek Królewski w Warszawie od zera jest odbudowany. To znaczy, że gorszy?

Andrzej Pierzchała



Widziane z prowincji

ORNITOLOG NIE MUSI FRUWAĆ

Pomny zawartej w tym tytułowym, krotokwilnym bon motcie, jednak metodologicznej zgoda prawdy, szukałem formuły, która umożliwiłaby mi płaszczyznę merytorycznego sporu z profesorem politologii Waldemarem Ślugoćkim. Oto bowiem ów profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego jest jednocześnie szefem struktury wojewódzkiej największej partii opozycyjnej w Polsce, czyli Platformy Obywatelskiej. Nota bene, występującej obecnie w formie Koalicji Obywatelskiej z Zielonymi, Nowoczesną (z długiem) i Inicjatywą Polską. Zatem na początek konia z rzędem temu, kto wie, kto zaczął członkowie owej Inicjatywy, no i po co PO taka koalicja? Ale wróćmy do sprawy formalnej. Otóż mało kto wie, że oprócz filozofii społecznej posiadam również uniwersytecki certyfikat z... politologii właśnie. Czyli formuła zgrabna poniekąd, nawet jeśli w kształcie parafrazy, czyli „jak politolog z politologiem” (toutes proportions gardées), tu mogłaby wystarczyć? Bo też w gruncie rzeczy nie chcę się tu odnosić do bieżącej partyjnej polityki i narracji, wcale nie łatwiejszej dla zawodowca (politologa), choć przecież profesjonalizm i tu zobowiązuje, jak nie przymierzając „szlachectwo”. Oczywiście przywoływanie w tym miejscu „przypadku” prof. Migalskiego jako wzorcowego byłoby chyba grubym nietaktem, chociaż zawsze można obłudnie harce owego „akademika” uznać za przestrożę. Ale wróćmy do prof. Ślugoćkiego i jego działalności dydaktycznej, o niebo jednak ważniejszej. Tu odwołam się do mojego wieloletniego doświadczenia akade-

mickiego, w którym moi studenci na bieżąco (w radiu i tygodniku) weryfikowali moje wykładowe tezy dotyczące mediów, metodologii dziennikarskiej, a w szczególności etyki. Ciekaw jestem bowiem, jak na wykładach i seminariach uniwersyteckich prof. Ślugoćki przedstawia np. kontrowersje polityczno-historyczne. Np. agenturalną przeszłość Lecha Wałęsy i innych działaczy „S” i sprawy ich teczek, Okrągły Stół, Magdalenkę, „demokratyczne” wybory w 1989 roku, lustrację i dekomunizację, uwłaszczenie i prywatyzację, a w szczególności losy „popęgeerowców” etc. Wydaje się bowiem, że aktualna „narracja” jego formacji w tej materii jest daleka od... faktów. Czy zatem możliwy jest tu naukowy obiektywizm Profesora (?), choć jako erudyta zawsze może jednak zacytować Hegla „...tym gorzej dla faktów”. A propos bieżącego stanu polityki (może raczej postpolityki) z tzw. klasą polityczną na czele, to ciekaw jestem też, jak Profesor tłumaczy swoim studentom np. brak programu PO (wszak „antypisizm” to intelektualna kompromitacja), a osobliwie „totalną opozycyjność”. Czy studenci i doktoranci mają pojęcie o postawie propanistwowej na przykład albo o kompetencyjności, że o pomocniczości, suwerenności i solidarności w stosunkach międzynarodowych wewnątrz UE wg koncepcji Schumana i De Gasperiego nie wspomnę. Nie mam wątpliwości, że powyższe zagadnienia nawet tak trudne, jak cywilizacyjne i ideowe zagrożenia dla Europy i świata, znajdują miejsce w działalności dydaktycznej prof. Ślugoćkiego, natomiast ciekaw jestem, co Jego studenci mówią na temat celowo pominiętej tu przeze mnie bieżącej polityki (post-?) jego formacji w Europie, w kraju i regionie, choćby w kontekście wyborów personalnych. I tu np. Boni (TW), swoisty postkomunistyczny „tercet” z list KE: Miller, Cimoszewicz i Belka w PE, ale też Jachira i Sterczewski, Szczërba i Joński oraz Aniśko w Sejmie RP. Pytań wiele...

REKLAMA

0110378910

ZARABIAJ DO

4 080 zł **080 złotych brutto***

+ BONUS DO 7%**

WSZYSTKO DZIEJE SIĘ ZA KULISAMI

Aplikuj już dziś na
amazon.com/swiebodzin
lub zadzwoń pod
22 307 82 80

amazon

* Maksymalna miesięczna kwota wyliczona ze stawki bazowej i bonusu zależnego od frekwencji na podstawie 168 godzin pracy.
** Zależny od realizacji celów przez zespół. Naliczany od stawki bazowej.



Gary Guthman zaprezentuje moc swingującej trąbki

Wspomnienie złotej ery swingu

Gorzów Wielkopolski

Na 7 i 8 stycznia Filharmonia Gorzowska zaprasza na koncerty karnawałowe nawiązujące do złotej ery swingu. To jeden z kierunków muzyki jazzowej, popularny zwłaszcza w latach 30. i 40. ub. wieku. Narodził się w USA. Charakterystyczne dla niego były big bandy, wcześniej regularnie wykorzystujące w swojej muzyce także klarnety, zdominowane obecnie przez saksofony. Ważne w swingu są także trąbki, puzony, gitary, fortepian oraz sekcja rytmiczna, które wprowadzają słuchaczy w mocno taneczny nastrój.

Gwiazdą koncertu karnawałowego w Gorzowie Wlkp. będzie

dzie wyśmienity amerykański trębacz, kompozytor i aranżer Gary Guthman, któremu towarzyszyć będzie trio w składzie: Filip Wojciechowski - fortepian, Paweł Pańta - kontrabas, gitara basowa, Cezary Konrad - perkusja oraz filharmonicy gorzowscy. W programie koncertu zabrzmiały swingowe przeboje legend muzyki jazzowej, m.in. Benny'ego Goodmana, Glenna Millera, Harry'ego Jarmesa i Duke'a Ellingtona, a także zestaw takich hitów, jak „Stardust”, „Hello, Dolly”, „It Don't Mean A Thing”, „Blues In The Night” czy latynoskie „Besame Mucho”. Usłyszymy również wiązanki największych hitów twórców tego gatunku. Wstęp płatny. **JERRY**

WYDARZY SIĘ

W TEJ RUBRYCE PISZEMY O WYBRANYCH, W TYM ODLEGLEJSZYCH WYDARZENIACH

■ 9.01 - spektakl poświęcony Markowi Grechucie „Świecie nasz”, Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp.;
■ 9.01. - koncert kolęd i pastorałek, kościół pw. św. Jadwigi Śląskiej, Krosno Odrzańskie;
■ 14.01 - noworoczna gala: koncert wiedeński, Filharmonia Gorzowska;
■ 14-15.01 - koncert karnawałowy, Filharmonia Zielonogórska;
■ 15.01 - koncert Big Bandu Nowosolskiego, Nowosolski Dom Kultury;
■ 15.01. - Koncert kolęd i pastorałek, Świebodziński Dom Kultury,
■ 16.01 - koncert „Święty czas świętej nocy”, Parafia M.B. Rokitańskiej, Kostrzyn nad Odrą;
■ 16.01 - bal u Straussów: karnawałowy koncert rodzinny, Filharmonia Gorzowska;
■ 21.01 - koncert symfoniczny (Mozart, Brahms), Filharmonia Gorzowska;
■ 21.01 - koncert wiedeński, Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp.;
■ 21.01 - koncert symfoniczny (Gounod, Rachmaninow), Filharmonia Zielonogórska,
■ 22.01 - koncerty z okazji Dnia Babci i Dziadka, Filharmonia Zielonogórska. **JERRY**

Szprotawa

Rodzinne kolędowanie

W niedzielę 9.01. o godz. 16 Szprotawski Dom Kultury zaprasza na koncert kolęd w wykonaniu lokalnych zespołów: Szprotawskiej Orkiestry Dętej, Dojrzałych Kłosów, Tulowianek, Wrzósów, Kasi Kucharz i Moniki Józwik oraz zaproszonych gości. Będą nimi Agnieszka Zgrzebska, zespół ZERil Magdalenki. Organizatorzy stawiają na miłą atmosferę i rodzinny koncert, podczas którego występujący zaśpiewają razem z publicznością. Spotkanie poprowadzi Teresa Zima. W programie popularne kolędy, m.in. „Wśród nocnej ciszy”, „Bóg się rodzi”, „Lulajże Jezuniu”. **JERRY**



FOT. WIKIPEDIA COMMONS

Zobacz, jak funkcjonuje orkiestra dęta



FOT. JACEK KATOS

Zastalska orkiestra od lat gra podczas koncertów promenadowych

Zielona Góra

Jarosław Wnorowski
jaroslaw.wnorowski@polskapress.pl

Wyjątkowe wydarzenie odbędzie się we wtorek 11 stycznia o godz. 17, w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Będzie to otwarta dla publiczności próba Orkiestry Dętej Zastal - najstarszego zespołu tego typu w powojennej historii Zielonej Góry. Orkiestra przeżyła zakład, przy którym powstała.

Historia zespołu jest ściśle związana z historią powojennej Polski, a przede wszystkim z dziejami miasta Zielona Góra. Orkiestra powstała m.in. dzięki zaangażowaniu inż. Kazimierza Szwabowicza - dyrektora Zaodrzańskiego Zakładu Budowy Mostów

i Wagonów „Wagmo” (późniejszego Zastalu), który 23 lutego 1947 roku zaangażował Michała Kobakę - zawodowego kapelmistrza wojskowego i zlecił mu utworzenie orkiestry. Próby rozpoczęły się w kwietniu, a orkiestra składająca się wtedy z 18 członków, po raz pierwszy przemaszerowała ulicami Zielonej Góry we wtorek 22 lipca 1947 roku. Do jej legendarnych dyrygentów należał Franciszek Rzeźniczak. Obecnym szefem orkiestry jest Leszek Gąd, a zespół liczy teraz ponad 30 osób, głównie osoby dorosłe, choć w składzie jest też sporo młodzieży. W ramach jubileuszu członkowie orkiestry zaplanowali szereg działań promocyjnych, m.in. otwartą próbę swojego zespołu. Będzie można podczas niej zapoznać się z sekcjami,

instrumentami i muzykami orkiestry. W okresie wiosenno-letnim na słuchaczy czekają koncerty promenadowe, a finałem będzie koncert galowy, którego termin oraz miejsce jeszcze nie są ustalone.

Wtorkowe spotkanie nie jest typowym koncertem i ma charakter typowo rodzinny. Zespół zagra różne utwory, zupełnie jak podczas tradycyjnej, zwyczajowej próby. Na pewno zabrzmia muzyka rozrywkowa, musicalowa, filmowa, trochę klasycznej i oczywiście marszowa. Będzie można także zadawać pytania do muzyków lub dowiedzieć się, jak wstąpić do orkiestry. Wstęp na około dwugodzinną próbę wynosi 8 zł/os. - tyle, ile bilet ulgowy do muzeum. Można robić zdjęcia. Obowiązuje reżim sanitarny.

WYBIERZ SIĘ



FOT. ARCHIWUM JANA WYDRZYCKIEGO

Krosno Odrzańskie

O Niemenie w Mediatece
W środę, 12 stycznia, o godz. 11.00 Mediateka w Krośnie Odrzańskim zaprasza na prelekcję pt. „Czesław Niemen - znany i nieznany na Ziemi Lubuskiej”. Poprowadzi ją prezes Stowarzyszenia Pamięci Czesława Niemena - Jan Edward Czachor. Uczestnicy nie tylko poznają fakty i ciekawostki z życia Niemena, ale także posłuchają fragmentów jego utworów, jak: „Sen o Warszawie”, „Czyż jest ten świat”, „Czy mnie jeszcze pamiętasz?”. Prelegent poruszy ponadto lubuski okres Niemena, który w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi w czerwcu 1958 r. wyemigrował ze Starych Wasiliszek (dawne Kresy) do Świebodzina. Zamieszkał tu u rodziny Józefa Wydrzyckiego (stryja), który był dyrektorem liceum. Wstęp bezpłatny. Obowiązują obostrzenia pandemiczne. **JERRY**

Świebódzin

Karnawał w ŚDK

W sobotę, 8 stycznia, Świebodziński Dom Kultury zaprasza do swojej siedziby na godz. 17:00 na koncert karnawałowy. Zagra orkiestra symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej pod dyktando Sabriny Stachel - absolwentki Akademii Muzycznej w Gdańsku. Jako solistka wystąpi Adriana Ferfecka (na zdjęciu), sopranistka mająca już za sobą występy w słynnym weneckim teatrze La Fenice, berlińskiej Deutsche Oper czy niedawny debiut na deskach Teatru Wielkiego w Warszawie. Jest laureatką pierwszych nagród na licznych konkursach, m.in. „Ferruccio Tagliavini” w Austrii, Le Grand Prix de l'Opera de Romania, Debut w Niemczech, „Ottavio Zilino” we Włoszech, Iris Adami Corradetti we Włoszech. Występowała również w Teatrze dell'opera di Roma w Rzymie, gdzie wcieliła się w postać Corinny w „Podróży do Reims”. W Świebodzinie wykona m.in. arie Lauretty z opery Gianni Schicchi czy Violetty z „Traviaty” Giacomo Pucciniego. Wstęp płatny. **JERRY**



ARCHIWUM TEATRU WIELKIEGO W WARSZAWIE



FOT. PIXABAY

Zielona Góra

Lata 20., lata 30.

Lubuski Teatr zaprasza na wyjątkowy spektakl taneczno-muzyczny w reżyserii Jana Szurmieja pt. „Słodkie lata 20.-30.” pełen hitów sprzed stu lat. Odbędzie się on 7-8 stycznia o godz. 19 i 9 stycznia o 18 na dużej scenie. Zobaczymy kobiety w długich rękawiczkach, powłóczystych sukniach zdobionych sznurami perły i eleganckich mężczyzn w smokingach lub frakach, którzy świętowali życie w rewiach czy kabaretach. To okres wypły talentów, które były związane z „Qui pro quo” - najświetniejszym polskim teatrykiem literacko-rewiowym działającym w latach 1919-1932. Należeli do niego m.in. Julian Tuwim czy Marian Hemar. Występowali w nim m.in. Hanka Ordonówna, Mira Zimińska, Zula Pogorzelska, Adolf Dymśa czy Eugeniusz Bodo. Usłyszymy m.in.: „Miłość ci wszystko wybaczy”, „Na pierwszy znak”, „Ada, to nie wypada”. Bilety można nabyć w promocyjnej cenie. **JERRY**

Gramy tylko to, co czujemy

Leszek Kalinowski
lkalinowski@gazetalubuska.pl



współpraca
Jacek Katos

Rozmowa z Łukaszem Łyczkowskim, wokalistą zespołu 5 RANO, mieszkańcem Sulęcina

Rok 2021 nie był łatwy dla artystów. Wy jednak spędziście go pracowicie.

Rok 2021 faktycznie, jak i dla wszystkich, i dla nas nie był łatwy. Przeżyliśmy przez tyle lat tyle trudności, więc i znoje lockdownu, pandemii i związany z nim zakaz koncertowania przyjęliśmy „na klatę”. Wyszliśmy z założenia, że inni mają gorzej. Wszyscy w 5 RANO normalnie pracują zawodowo, znają znoje i realia życia. Wiemy, jakie ludzkie dramaty przeżywają ludzie w tym czasie i nie należymy do grona artystów uważających się nad własnym losem. Przeciwnie zakasaliśmy ręce do pracy i komponowaliśmy, ile się da. Ja np. wreszcie zrobiłem w mieszkaniu domowe ministudio i zacząłem też rozwijać się w kierunku rejestracji mojej muzyki. Gdy tylko latem i jesienią odblokowano możliwość koncertowania, graliśmy ile tylko się dało, równolegle nagrywaliśmy materiał na trzeci album w dyskografii zespołu - „Credo”, który ukaże się w marcu przyszłego roku.

Tytuł nowej płyty „Credo” oznacza podtrzymanie deklaracji artystycznych czy jakąś metamorfozę?

W zasadzie przez 18 lat trwania naszej krucjaty muzycznej staramy się dawać jasny, klarowny sygnał, że idziemy prostą szlachetną drogą w imię rock&rolla. I album jest właśnie taką swoistą deklaracją, pieczęcią, jak chcemy wyrażać się artystycznie. Nasi fani wiedzą, że poruszamy się w wielu nurtach. Staramy się nie dać zaszufladkować i można spodziewać się wszystkiego poza jednym. Nigdy nie zaprzędamy się komercyjnie, nie ulegamy oczekiwaniom wytwórni, obowiązującym trendom i tworzymy tylko to, co nam odpowiada. Z resztą chyba po zajęciu drugiego miejsca w The Voice of Poland każdy przekonał się, że wybrałem lojalność, braterstwo, czyli 5 RANO i nie zaprzędam swoich ideałów.

Jak pracowało wam się w studio? Jakież niespo-

dzianki mogą się zdarzyć ekipie, która sprawdza się we współpracy od lat?

Album „Credo” zdecydowaliśmy się nagrać w renomowanym Republica Studio w Lubrzy. Na wybór oprócz jakości i wysokich standardów wpłynął też fakt lokalizacji studio w Lubuskiem, czyli blisko naszych domów rodzinnych. Osobiście jestem przywiązany do Ziemi Lubuskiej, rodzinnego Sulęcina i czuję spokój, komfort podczas nagrywania. Młody, energiczny realizator dźwięku Piotr Zegzuła pomógł nam nagrać utwory dokładnie tak, jak chcieliśmy. Poza tym Lubrza to dom rodzinny Emila Chamarczuka, naszego perkusisty i miejsce realizacji klipu do utworu „Nie wiem jak”, który ma już 17 mln. wyświetleń na YouTube. A czy były jakieś niespodzianki? Niby znamy się już doskonale, a dalej podczas pracy uczymy się siebie i sztuki kompromisu. Oczywiście były iskry, tarcia, ale tzw. twórcze w imię dobra utworów.

Czyli słowa „To moje życie, to jest mój rock and roll” wciąż są aktualne?

Niestety tezy stawiane w tekście i ocena ówczesnych zmagani o siebie i ideały wydają mi się nadal aktualne. Mało tego, uważam, że w obecnej chwili mój ukochany rock&roll jest w głębokiej defensywie, przegrywa z wszechobecną tandetą wciskaną, by nas ośmupić. Poza tym coraz mniej jest zespołów, artystów, którzy walczą, buntują się poprzez słowa i muzykę i walczą z konsumpcyjnym światem.

Teledysk do „Niepokonanych” to utwór, który wyraża podziw, a jednocześnie podtrzymanie na duchu odrzuconych, skrzywdzonych przez los, tych, którzy walczą o siebie każdego dnia. Skąd pomyślny taki klip i udział w nim przyjaciela?

Chciałem uwiecznić na taśmie filmowej moją przyjaźń z Arminem Meisterem, która trwa tyle lat co działalność 5 RANO, a może nawet dłużej. Armin ze swoją postawą życiową, niezłomnością wobec problemów wynikających z jego niepełnosprawności jest dla mnie synonimem słowa niepokonany. Jak już mówię, jestem przywiązany do Ziemi Lubuskiej, dlatego część zdjęć kręcona była w gorzowskim Teatrze im. J. Osterwy, natomiast sceny koncertowe i ujęcia z Arminem powstały na Górnym Śląsku, gdzie żyje nasz przyjaciel.



Łukasz Łyczkowski podczas koncertu zespołu 5 RANO

Do nagrania zaprosiliście gości specjalnych (Sebastian Riedel, Wojtek Cugowski). Jak przyjęli wasze zaproszenie?

Na zaufanie tych genialnych artystów pracowałem latami. Minęły lata, by z pozycji fana ich twórczości stać się partnerem muzycznym. Muzycy tej klasy pilnują, aby poziom artystyczny projektów, w których biorą udział, nie odbiegał od ich standardów. Tym bardziej jestem dumny, że są naszymi gośćmi na albumie. Sebastian Riedel i Wojtek Cugowski to muzycy z rockowego topu w Polsce. Praca z nimi była dla mnie cenną lekcją profesjonalizmu i oddania artystycznego. Zapewniam, obydwaj panowie zaśpiewali i zagrali tak, że w najskrytszych snach nie spodziewałem się takiego efektu. To dla mnie zaszczyt, że wyśpiewywali moje słowa, zagrali nasze dźwięki. Mam nadzieję, że i Lubusanie też odczytują to tak jak my.

18 lat na scenie zobowiązuje. Jesteście najbardziej rozpoznawalnym zespołem rockowym na Ziemi Lubuskiej. Ale nie byłoby was bez fanów. Macie swoje „Czarne Anioły”, około 200 osób, cztery pokolenia...

Oficjalny Fan Club „Czarne Anioły” Łukasza Łyczkowskiego & 5 RANO powstał zaraz po moich występach w The Voice of Poland. Nazwa zrodziła się, gdy podczas koncertów coraz więcej fanów ubierało nasze koszulki, które były czarnego koloru. Moich fanów postrzegam jako anioły, które są mi opoką i wsparciem. Pieszczołtliwe zwracałem się do nich

„moje czarne aniołki” i to określenie się przyjęło. Oczywiście przed programem mieliśmy swoich fanów, wraz ze wzrostem popularności po sukcesie w Voice, zawiązała się grupa, która ciągle się rozwija i rozrasta. Faktycznie mamy przekrój czterech pokoleń i to mi bardzo imponuje. Od kilku lat organizujemy w Łagowie do roczne „Urodziny 5 RANO i Złot OFC „Czarne Anioły”. Czyli dwudniowe spotkanie, podczas którego w piątek integrujemy się z fanami, a następnego dnia razem z zaprzyjaźnionymi zespołami dajemy koncert, który jest podziękowaniem za wsparcie. Z satysfakcją patrzymy na wypełniony po brzegi amfiteatr łagowski. Staramy się stworzyć nie-spotykaną relację z fanami, coś w stylu wielkiej rodziny, gdzie zniwelowany jest dystans w relacji artysta-fan. Dobrze o tym wiemy, że bez fanów nie byłoby nas.

Po sukcesie w The Voice of Poland wybrałeś swoją rodzinę, Sulęcina, swoją grupę 5 RANO. Jak patrzysz na to z perspektywy czasu?

Nie żałuję tej decyzji. Po 4 latach okazała się jedyną słuszną drogą, by kroczyć według swojej artystycznej wizji. Pochlebiali mi propozycje przejścia do tak renomowanych zespołów jak np. TSA, ale wychodzę z założenia, że w życiu trzeba mieć zasady i zachowywać się przyzwoicie. Poza tym nie chciałem podpisać żadnego niekorzystnego kontraktu z wytwórnią, aby zachować autonomię, tzw. wolność twórczą. Ludzie

często mnie pytają, dlaczego tak rzadko jestem w mainstreamowych mediach. Zawsze odpowiadam, że jestem tam, gdzie to co prezentuję, jest mile widziane. Zapewniam, że koncertuję po całej Polsce i choćby w tym roku miałem zaszczyt obcować z takimi personami jak Jan Borysewicz czy Grzegorz Skawiński. Cieszę się, że z 5 RANO jesteśmy niezależni, gramy tylko to, co czujemy. 18 lat temu Łukasz Łabędzki i Arek Jurusz uwieńczyli we mnie i bez 5 RANO nie byłbym w tym miejscu, gdzie teraz. To nie jest zwykły zespół, tworzymy rodzinę opartą na braterskich relacjach. 5 RANO to mój główny środek artystycznego wyrazu, oczywiście uczestniczę w innych projektach, ale jak to się mówi: „Matka jest tylko jedna i o rodzinę się dba”. Dalej mieszkam w Sulęcinie, choć miałem możliwości się przenieść. Ale jestem bardzo rodzinny, uwielbiam mój Sulęcina, za to nie lubię zgietku aglomeracji. Dobrze mi tu i na razie nigdzie się nie wybieram.

A pamiętasz wasz występ podczas lokalnego festiwalu Rock Nocą?

Doskonale pamiętam wszystkie lubuskie festiwale i ubolewam, że tak wiele z nich już nie istnieje. To na scenach lubuskich festiwali wszystko się zaczęło, hartowaliśmy nasz styl, zdobywaliśmy pierwsze laury. Tęsknie za tymi czasami. Klubów i właśnie festiwali rockowych w Lubuskiem coraz mniej. Stąd moje stwierdzenie, że szeroko pojęta muzyka rock&rollowa jest w defensywie. Z marzeń, które się ziściły, na pewno mogę wyróżnić np. to, że trwamy, gramy własną muzykę i wydajemy trzeci autorski album. Zawsze marzyliśmy, by wypełniać wielkie sale koncertowe, grać na festiwalach i po prostu móc żyć z muzyki, aby oddać się jej całkowicie. O te marzenia ciągle niestrudzenie walczymy.

Niedawno zostałeś wyróżniony w plebiscyście w swo-

jej rodzinnej miejscowości – Mężczyźni Sulęcina. Co dla ciebie oznacza takie wyróżnienie i jak w ogóle traktujesz plebiscyty?

Nawet redakcja GL wie, jak podchodzę do plebiscytów, zwykle odmawiam uczestnictwa, natomiast ze względu, na to, że znalazłem się w gronie ludzi, których cenię i przy okazji mogłem spędzić miły wieczór z rodzicami to nie odmówiłem.

Wspomniałeś kiedyś w wywiadzie, że rock w Polsce jest trudny do uprawiania. Jak to rozumieć?

Ubolewam, że nie tylko gatunek muzyczny jak rock, ale szeroko pojęta kultura wyższa jest w Polsce deprecjonowana coraz bardziej. Ale skupiając się na gatunku muzycznym, czyli obszarze kultury, w jakim działałem, to zauważam, że jest coraz gorzej. Festiwale padają, bo nie są dotowane. Padają kluby stworzone z miłości do rocka, rozgłośnie radiowe niezależne walczą ile sił. Niestety jeśli społeczeństwo karmione jest ośmupiającą tandetą, to nie wyrabia w sobie łaknienia bardziej wysublimowanych form sztuki. Swoje zrobiły wielkie wytwórnie, wiodące rozgłośnie i media, które bazują na tzw. układach, znajomościach. Sam się o tym przekonuję, gdy walczę o 5 RANO, palę wiele mostów kontestując przeciwko temu.

Wróćmy jeszcze do waszej trzeciej już płyty „Credo”. Premiera przewidziana jest na marzec.

Mamy nadzieję, że pandemia nie zniweczy kolejny raz naszych planów i w 2022 roku odbędzie się trasa koncertowa po całym kraju, promująca „Credo”. Chcemy dotrzeć wszędzie tam, gdzie jeszcze nas nie było. Postaramy się wydać także jak najwięcej videoclipów, być w częściej w mediach. Po prostu chcemy grać, grać i jeszcze raz grać! A już teraz zapraszam Czytelników „GL” w sierpniu do łagowskiego amfiteatru na „18. urodziny 5 RANO”.

REKLAMA 0010366423

AndreX

Drewno liściaste opałowe
dąb/akacja/buk/brzoza w wałkach
2,40 m cena z dowozem min. 10 mp 200 zł/mp
tel. 68 385 24 66 godz. 8-15

Nie wyobrażam sobie pracy bez ludzi

Jarosław Wnorowski
jwnorowski@gazetalubuska.pl



Rozmowa

Dom kultury w Sulechowie mocno zaznaczył się na lubuskiej mapie kulturalnej. Widać wiele zmian, które cieszą mieszkańców gminy oraz lokalne stowarzyszenia i przedstawicieli małego biznesu. Bardzo tą współpracę chwalią sobie np. winiarze, którzy poczuli się docenieni, jako kreatorzy lubuskiego produktu turystycznego opartego na enoturystyce. Rozmawiamy z Agnieszką Łukaszenko-Woźnicą, która od kilku miesięcy jest dyrektorem ośrodka.

Sulechowski Dom Kultury oferuje coraz więcej mieszkańcom gminy. Co nowego pojawiło się w okresie, w którym kieruje Pani tą placówką?

Na pewno pojawiła się różnorodna oferta nowych zajęć, ale także i tych oferowanych zanim objęłam moją funkcję. Mamy coś dla pasjonatów śpiewu, malowania, prac ręcznych, fotografii, gry na instrumentach. Coś dla siebie znajdą także miłośnicy słowa pisanego i aktorzy.

Ogromnym sukcesem był cykl „Wakacje z SDK”. Wiem, że z letnim programem wasi instruktorzy dotarli do wszystkich dwudziestu sołectw w gminie Sulechów.

Tak to prawda. Tworzymy stale sieć współpracy z wieloma jednostkami i sołectwami nie tylko na okres wakacji, ale na cały rok. Niedawno, z Ośrodkiem Pomocy Społecznej zorganizowaliśmy Mikołajki. W programie było przedstawienie teatralne, po którym Święty Mikołaj wręczał drobne upominki najmłodszym. Wydarzenie nie było skierowane tylko do dzieci miejskich, lecz także tych z licznych w naszej gminie wsi. W sobotę, 18 grudnia 2021r. mieliśmy aż dwa piękne wydarzenia. Z wydziałem współpracy i promocji gminy zorganizowaliśmy Jarmark Bożonarodzeniowy. Ja, z racji moich zamiłowań i pasji, przy każdej możliwej okazji chcę przemycić trochę teatru dla mieszkańców. Tym razem wystąpiła grupa artystyczna Gwardia Gryfa. Wieczorem tego samego dnia, koncert koledż zagrała u nas



Agnieszka Łukaszenko-Woźnica Dyrektor Sulechowskiego Domu Kultury

orkiestra Filharmonii Zielonogórskiej z solistką oraz uznanym chórem Cappella Gedanensis.

Z jakich swoich akcji w SDK jest Pani szczególnie dumna?

Jestem dumna z tego, że ludzie widzą pozytywne zmiany. Zmienia się nasz wizerunek jako miejsca, ale również jako placówki kultury. Włożyłam w to trochę kobiecej ręki. Stawiam na estetykę i takie małe drobiazgi, które w połączeniu z całością tworzą całkiem coś nowego. Myślę, że dzięki temu, jesteśmy postrzegani jako instytucja dla ludzi w różnym wieku, z różnymi pasjami, przyjazna i otwarta dla każdego. Dużo się u nas dzieje, odwiedza nas wiele osób, zawsze jest gwaro i wesoło.

Bardzo atrakcyjnie wyglądały tegoroczne sulechowskie obchody Narodowego Święta Niepodległości.

Pewnie było przy nich sporo waszej pracy?

Moim zdaniem, najważniejszy jest zawsze pomysł. Regularnie siadam z pracownikami i robimy wtedy burzę mózgów. Zamyśl był taki, żeby nie obchodzić tego święta smutno, nostalgicznie czy pompatycznie. Odzyskanie niepodległości to przede wszystkim powód do radości i dumy, a nie smutku. Po drugie, chcieliśmy żeby mieszkańcy wyszli z domów i razem się spotkali na placu ratuszowym manifestując przy tym swój patriotyzm. Tam czekały na nich koncerty, pokaz laserowy, pokaz ognia.

Kto tworzy wasz zespół w SDK?

Mam bardzo dobry, różnorodny zespół. Nasza instytucja proponuje wachlarz zajęć i do tego potrzebni są specjaliści. Każdy ma inny zakres obowiązków, ale tworzymy zespół i jestem przekonana,

że się znakomicie uzupełniają w pomysłach i realizacji zadań. Mam świetnych instruktorów ds. plastyki, teatru, muzyki, organizacji imprez oraz własnego akustyka. Równie istotną rolę odgrywa nasza administracja i obsługa. Każdy jest w tej maszynie ogniwem niezbędnym do funkcjonowania naszej instytucji.

A jak wygląda współpraca z lokalnymi winiarzami? Wiem, że w listopadzie otworzyliście ponownie piwniczkę winiarską w piwnicach zamku książęcego.

Rzeczywiście, winiarstwo w naszej gminie pięknie się rozwija. Już teraz mamy takie trzy miejscowości w gminie, gdzie jest ich naprawdę wiele i które regularnie przyjmują turystów. To Mozów, Cigacice i Górzynkowo. Dlatego właśnie, nasza współpraca z lokalnymi winiarzami nabiera tempa. W lipcu 2021 r. zorganizowaliśmy tzw. Miasteczko

Winiarskie w parku SDK. Można się było tam spotkać ze wszystkimi winiarzami z naszej gminy, porozmawiać z nimi, ale także degustować ich produkty. W listopadzie burmistrz wraz z winiarzami dokonał oficjalnego przecięcia wstęgi w piwnicy winiarskiej zamku książęcego. Bardzo chcemy, aby ta piwniczka we współpracy z winiarzami stała się naszym lokalnym miejscem spotkań, ale także narzędziem promocji naszych tradycji winiarskich, nie mówiąc już o tym, że ma to być także atrakcja turystyczna. W mijającym roku współorganizowaliśmy wraz z winnicami akcje jak: „Kino na Winnicy”, koncert zaduszkowy na winnicy. Naszym partnerom z niemieckiego miasta partnerskiego, zaprezentowaliśmy także dwie winnice w Mozowie. Jestem przekonana, że przed nami jeszcze wiele wspólnych projektów w tym obszarze.

Jest Pani z wykształcenia filologiem germańskim i wieloletnią nauczycielką. Przydaje się to pedagogiczne doświadczenie w Pani nowej pracy?

Znajomość języka jest dużym atutem w mojej pracy. Mamy współpracę z miastem partnerskim Fürstenwalde i język nie stanowi dla mnie wówczas żadnej bariery. Piślemy wiele projektów, m.in. do Euroregionu i mogę, dzięki temu, na bieżąco ustalać szczegóły z partnerem niemieckim. Dodatkowo, doświadczenie pedagogiczne daje mi umiejętność pracy z różnymi ludźmi i łatwość komunikacji.

Chcecie dalej kontynuować wydarzenia związane z Chopinem w Sulechowie?

Absolutnie tak. Chopin to element historii miasta i patron naszego domu kultury. W tym roku odbyła się już dwunasta edycja festiwalu jego imienia. W zeszłym roku nie było to możliwe z powodu pandemii, ale w tym roku zorganizowaliśmy chociaż tydzień chopinowski, którego finałem były dwa przewspaniałe koncerty światowej sławy pianisty - Leszka Możdżera. Obecnie już przygotowujemy się do organizacji przyszłorocznego festiwalu. Pracujemy nad projektami, które pozwolą nam pozyskać fundusze zewnętrzne. Program zapowiada się bardzo bogaty.

Dyrektor SDK prywatnie uwielbia, pasjonuje się, lubi?

Ja to przede wszystkim lubię ludzi. Uwielbiam rozmawiać z nimi, ich słuchać i rozumieć. Stąd nie wyobrażam sobie pracy bez ludzi. Jeśli mam mówić o pasjach to na pewno są książki, film, teatr i podróże.

Jakie są Pani plany na przyszłość, jako dyrektora placówki?

Planów jest mnóstwo. Jedne z nich wymagają większego, inne zaś mniejszego nakładu finansowego. Mamy zgłoszone cztery nowe projekty, które czekają na weryfikację i ocenę stosownych instytucji. Jestem jednak w pełni przekonana, że idziemy w dobrym kierunku. W grudniu 2021 r. zaczęliśmy prowadzić zajęcia nauki gry na instrumentach dętych. Obecnie są to klarnet, flet, saksofon, trąbka, puzon i perkusja. Kiedyś przy SDK od 1946r. działała orkiestra dęta, która jednak nie przetrwała trudnego okresu transformacji ustrojowej i skończyła swoją działalność w 2004 r. Nauka jest prowadzona przez doświadczonych muzyków z orkiestry dętej Zastal w Zielonej Górze. Zachęcam młodych mieszkańców naszej gminy do korzystania z tej oferty. Chcemy przez kilka następnych lat wykształcić sobie muzyków, aby w stosownym momencie reaktywować naszą miejską orkiestrę dętą. Droga do niej jeszcze daleka, ale już teraz wiemy do czego dążymy. Oprócz tego, SDK jest od niedawna członkiem Zrzeszenia Instytucji Kultury Województwa Lubuskiego. Poznałam w nim wiele doświadczonych osób z głowami pełnymi pomysłów. Na najbliższy rok mamy zaplanowany wspólny projekt z panem Jackiem Filipkiem-Dyrektorem Sulęcińskiego Domu Kultury.

A takie bardzo najbliższe plany?

Mamy takie jedno bardzo ważne dla wszystkich wydarzenie. W 2021 roku, Sulechowski Dom Kultury obchodził jubileusz swojego 70-lecia. Byliśmy, przez pandemię oczywiście zmuszeni przenieść te obchody na rok 2022. Na luty przygotowujemy więc główny punkt obchodów naszego święta, a oprócz tego przez cały rok będziemy proponować mieszkańcom cykl jubileuszowych wydarzeń. Wiele jeszcze mamy zatem do zrobienia i na pewno nie raz jeszcze Państwa zaskoczymy.

Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl



Lubuskie

Środek dnia, spory ruch, a pomiędzy domami wilk. To ostatnio częsty widok w kilku podgorzowskich miejscowościach. I widok, który wprawia mieszkańców w osłupienie, bo choć obecność tych zwierząt w lubuskich lasach nie jest żadną nowością, to nowe jest to, że drapieżniki coraz bliżej i śmielej podchodzą do ludzkich siedzib. I wcale nie boją się bliskiego kontaktu z człowiekiem.

W ostatnim czasie wilki pojawiły się między innymi na terenie gminy Deszczno. Były widziane w pobliżu domów w kilku miejscowościach. Na mieszkańców padł błąd strach, bo takich nietypowych sąsiadów dotąd w swojej okolicy nie spotykali.

- Na naszym terenie są najprawdopodobniej dwie watahy - jedna jest widywana w okolicach Ulimia i Łagodzina - to są trzy wilki. Jeden bardzo duży wilk pojawia się natomiast w rejonie samego Deszczna. Do urzędu gminy w ostatnich dniach trafiła informacja o pieszażyzionym przy budzie i podejrzewamy, że zrobiły to właśnie wilki - mówi wójt gminy Deszczno Paweł Tymusz.

Dlatego władze gminy przestrzegają mieszkańców przed wchodzeniem do lasu i apelują o szczególną ostrożność.

Oko w oko z wilkiem

Bliskie spotkanie z wilkiem przeżył prezydent Gorzowa - Jacek Wójcicki, który jest mieszkańcem gminy Deszczno. Drapieżnik przechadzał się po jego podwórku.

- To był już wieczór. Kiedy wychodziłem z domu zauważyłem wilka, który był kilkanaście metrów ode mnie. Swoją obecnością spłoszył zwierzęta, ale po chwili spokojnie odszedł. Generalnie wilki nie są agresywne, one badają teren i oczywiście polują na zwierzynę, ale nie atakują ludzi. Myślę, że ta obawa dotycząca obecności wilków w naszym sąsiedztwie wynika z tego, że nie znamy tego zwierzęcia i jego zachowań - mówi Jacek Wójcicki.

I to potwierdzają również przyrodnicy. Jak tłumaczą - współcześnie wilki rekolonizują te części Europy, gdzie przez długi czas były nieobecne. Na wielu takich obszarach lokalni mieszkańcy nie są pewni jakie zachowania wilków mogą być uznawane jako



FOT. LUKASZ SZEWCHUK

Oko w oko z wilkiem. Drapieżniki podchodzą

normalne, a jakie odbiegają od normy i mogą stać się źródłem problemów.

Ostrzegają przed wilkami

Ale sygnałów o obecności wilków jest coraz więcej. Drapieżniki zaczęły zapuszczać się coraz bliżej domostw również w gminie Bogdaniec.

- W związku z licznymi sygnałami od mieszkańców z terenu naszej gminy związanymi z pojawianiem się wilków, poniżej przekazujemy przydatne informacje w sprawie zasad po-

stępowania w przypadku spotkania z wilkami oraz działań, których należy unikać, aby ograniczyć zagrożenia ze strony tych zwierząt - informuje gmina Bogdaniec.

To, że wilki w lasach są potwierdzają też leśnicy. Zauważają, że zwierzęta są bardziej śmiałe i podchodzą bliżej miejsc zamieszkałych przez ludzi.

- Faktycznie obserwujemy takie zjawisko. Sam mieszkam w Jeninie i widziałem wilka pod moim domem. Dlatego na-

leży zachować środki ostrożności. Pamiętajmy, że to zwierzęta dzikie. Choć unikają kontaktu z człowiekiem, to jednak sprovokowane mogą być niebezpieczne - tłumaczy Piotr Pietkun, nadleśniczy w Nadleśnictwie Bogdaniec.

Skąd wzięły się wilki w lubuskich lasach?

Wilki, na które przez dziesiątki lat polowano, niemal zupełnie zniknęły z terenów Polski. Ponad dwadzieścia lat temu drapieżniki te objęto ochroną ga-

tunkową i od tego czasu ich liczba systematycznie wzrasta. Te, które znajdują się na terenie województwa lubuskiego najprawdopodobniej przywędrowały od naszych niemieckich sąsiadów.

- Wilki na terenie województwa lubuskiego są już od kilkunastu lat. One przywędrowały do nas najprawdopodobniej z landów Południowej Saksonii oraz Południowej Brandenburgii. Ale są to też zwierzęta migrujące z terenów południowo-wschodniej Polski - mówi Witold Marciniak z Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gorzowie Wielkopolskim.

Niemcy od pewnego czasu również borykają się z problemem wilków, które coraz śmielej wchodzą do miast i nie boją się ludzi. Coraz więcej osób natyka się tam na drapieżniki, niekiedy w pobliżu domów lub na ulicach. Niedawno w jednym z miast w Dolnej Saksonii wilk biegał bez strachu w okolicy miejscowego dyskontu. W innym drapieżnika widziano natomiast w parku.

W Lubuskiem wilków jest kilkaset

W naszym województwie lubuskim populacja wilków szacowana jest na ok. trzysta sztuk.

- Można powiedzieć, że na przestrzeni ostatnich lat jest to populacja stała i nie obserwujemy tendencji wzrostowej odnośnie liczebności tego dra-

pieznika w naszym regionie - mówi Witold Marciniak.

Niepokoić może jednak fakt, że wilki są coraz bardziej śmiałe i coraz częściej pojawiają się przy zabudowaniach.

- To, że wilki zapuszczają się w okolice domostw wynika przede wszystkim z tego, że o tej porze roku mają spore trudności ze zdobyciem pożywienia. Dlatego podchodzą pod zabudowania. To przejaw ich naturalnego instynktu, którym kierują się w poszukiwaniu jedzenia. A wyrzucane przez mieszkańców resztki czy karma dla psów zachęcają je swoim zapachem. Jednak wilki, podobnie jak każde inne dzikie zwierzęta, mogą zachować się nieobliczalnie, jeśli są wystraszone, chore lub zranione, a szczególnie wówczas, gdy zostaną oswojone, czyli dokarmiane i przyzwyczajone do pobytu blisko siedzib ludzkich - tłumaczy Witold Marciniak.

Wilki są płochliwe

Marciniak podkreśla, że w przypadku wilka - tak jak przy każdym innym dzikim zwierzęciu - należy zachować ostrożność, ale zazwyczaj nie ma się czego obawiać.

- Wilk jest inteligentnym i ciekawskim zwierzęciem, ale również bardzo płochliwym. Kiedy widzi człowieka ucieka, bo ma przed człowiekiem taką naturalną bojaźń. Warto jednak pamiętać, że wilki często po prostu nie rozpoznają ludzi, bo mają bardzo słaby wzrok. To, z kim mają do czynienia, podpowiada im głównie węch. Natomiast bardzo częste jest, że wilki wychodzą na drogę i obserwują ludzi. Robią to zwłaszcza młode osobniki. Badają w ten sposób teren - mówi.

Jeśli już spotkamy w lesie wilka, to przede wszystkim powinniśmy zachować spokój i co najważniejsze - nie uciekać.

- W takiej sytuacji należy przyjąć postawę czynną. Możemy unieść ręce i machać nimi w powietrzu. To rozpręstrzeni nasz zapach i sprawi, że będziemy dla wilka lepiej widoczni. Innym sposobem jest głośne pokrzykiwanie ostrym tonem. To pozwoli wilkowi zorientować się, że ma do czynienia z człowiekiem i że nie jest mile widziany. Jeżeli zwierzę nie chce odejść, możemy też rzucić patyk lub kamień w stronę zwierzęcia i pozwoli oddalić się z tego miejsca - radzi Witold Marciniak.

Wilki są w Polsce pod ścisłą ochroną. Jak zapewnia Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska - jego populacja jest na zadowalającym poziomie i stale rośnie, a organy środowiskowe dokładają wszelkich starań, żeby zapewnić dobre sąsiedztwo tych drapieżników z ludźmi i zwierzętami hodowlanymi. Zgoda na odstrzał wilków wydawana jest w wyjątkowych sytuacjach przez powołane do ochrony przyrody instytucje.



FOT. PEXELS

wilki są w naszym kraju pod ścisłą ochroną

Krzysztof
Chmielnik
krzysztofchmielnik@gmail.com



Historia

Husytyzm w oficjalnej historii opisywany jest jako ruch religijny. Ba, w pewnej książce o husytach, pisanej w latach 60., przeczytałem, że walczyli o wyzwolenie ludu od feudalnego ucisku. Tymczasem prosta analiza fundamentów ideowych tego ruchu, czterech artykułów praskich prowadzi do wniosku, że chodziło o kasę i wpływy. Jan Hus, założyciel ruchu, żądał prawa do swobodnej interpretacji Pisma Świętego przez ludzi świeckich, przywrócenia komunii pod dwiema postaciami dla świeckich, pozbawienia duchowieństwa władzy świeckiej i likwidacji dóbr kościelnych oraz prawa karania za grzechy egzekwowanego przez władzę świecką.

Dzięki temu właśnie prawu władze świeckie w miastach rządzonych przez protestantów skazywały na stos kobiety oskarżane o czary. Bystry czytelnik domyśla się, że chodziło także o pozbawienie klasztorów majątku i danie władzy świeckiej decyzji w sprawach religijnych. W dzisiejszych czasach laicyzacji życia, rozdziału państwa od Kościoła trudno na poważnie traktować brednie o wyzwalaniu ludu i tego rodzaju tzw. postępowe głupoty.

Historycy piszą o husytach, że w większości przypadków ich oddziały składały się z chłopstwa i biedoty miejskiej, często zagrzewanych „do boju” przez radykalnych księży. W dużym zatem uproszczeniu można łatwo dostrzec, że to taka późnośredniowieczna bolszewia, a owi radykalni księża byli w gruncie rzeczy heretykami, a używając bolszewickiej paraleli - komisarzami. Za husycyzmem, podobnie jak za komunizmem, kryły się jakieś finansowe interesy, ale to temat na całkiem inną książkę.

Niezależnie od smutnych losów Jana Husa, którego spalono na stosie za próbę zmiany stosunków społecznych, czyli za nawoływanie do antychrześcijańskiej rewolucji, skupmy się na pogrobowcach Jana Husa, czyli na husytach.

Taktyka wojenna

Husyci byli mistrzami wykorzystywania artylerii na bitewnych polach. Mniej natomiast mówi się o tym, ile armaty na początku XV wieku kosztowały i skąd husyci mieli na ich zakup pieniądze. Wiemy, że na początku finansowało husytów bogate mieszczaństwo. Później samofinansowali się, z łupów i grabieży. O micie biednych Czechów zmuszo-



FOT. MARIUSZ KAPALA

Beczki ze smołą

nym do wojny z arystokracją niech świadczy średni koszt oddania jednego strzału z bombardy (to taka armata) wynoszący równowartość 10 krów. A wiemy wszak, że jedna krowa była żywicielką kilku osobowej rodziny. Coś tu zatem nie bardzo pasuje.

Podstawową jednostką wojsk husyckich był wóz bojowy, którego załogę stanowiło od 18 do 21 ludzi, wśród których byli strzelcy z rusznicami i z kuszami, cepnicy, sulicznicy, pawężnicy i dwóch woźniców. 10 wozów bojowych tworzyło jednostkę organizacyjno-taktyczną pod dowództwem dziesięтника. Czyli na dzisiejsze to ok. 200 żołnierzy, czyli dwie kompanie. Oddział składający się z dwóch dziesiątek posiadał 4-5 lekkich dział i jedno ciężkie. W czasie bitew jednostki łączyły się w hufce dowodzone przez setników. Idący w bój husyci dysponowali nie mniej niż 180 wozami bojowymi, przeciwnika czekał zatem ostrzał z przeszło 1500 kusz, 360 rusznic, 36 lekkich dział i 9 ciężkich. Jak na ówczesne warunki potworna siła rażenia. Jak ktoś chce, może policzyć koszt wyposażenia husyckiej dziesiątki. My rozvikłajmy terminy.

Wóz bojowy był rodzajem ówczesnego czołgu. Jego pancierzem były wysokie podno-

szone burty ze strzelnicami. W skład załogi wozu bojowego wchodziło do 8 strzelców z kuszami i 2 strzelców z rusznicami. Wozy spinano łańcuchami w czworoboki lub okręgi. Pomiędzy wozami umieszczano armaty. Często wokół tej formacji kopano rowy. Generalnie była to mobilna formacja obronna. Taktyka husycka polegała na wdarcu się na niebroniony obszar, dokonaniu rabunku i założeniu obozu warownego, w którym napastnicy czekali na atak. Kiedy nacierający, atakując tabor, ponosili straty, głównie za sprawą ostrzału z broni palnej i artylerii, zza wozów następował atak lekkiej jazdy. Sulicznicy byli uzbrojeni w krótkie włócznie, często z hakiem, które skutecznie zwalczały konnych atakujących. Zadaniem pawężników była ochrona kuszników i artylerzystów.

I taki oddział liczący według różnych szacunków od 5 do 10 tysięcy ludzi, w 1433 roku maszerował przez ziemię lubuską ku Nowej Marchii. Szedł mścić się na Krzyżakach za to, że złupili ziemię dobrzyńską i Kujawy, korzystając z wojny, jaką, za krzyżacką namową, młodszy brat króla Władysława Jagiełły Świdrygiełło wypowiedział na Wołyniu Koronie. Król Władysław, czego mu Jan Długosz nie

mógł wybaczyć, zmówił się z husytami na wspólny militarny rewanz. Jan Długosz nie przepadał za Władysławem Jagiełłą, mimo że ten nie przyjął ofiarowanej mu przez husytów korony króla Czech. Władysław po zawarciu rozejmu z bratem wrócił do Polski i ruszył na Krzyżaków.

Polsko-husycka wyprawa

Husyckie wojska spotkały się 17 maja z wojskami koronnymi idącymi z Małopolski gdzieś pod Krosnem Odrzańskim. Następnie ruszyły na Frankfurt nad Odrą, ale po złupieniu podmiowych przedmieść pomaszerowały na Świebodzin, gdzie rozłożyły się obozem 24 maja. W trakcie pochodu do wyprawy dołączały się oddziały regularne i jak to zwykle bywa zwykli poszukiwacze łupów i przygód. Następnie wyprawa przekroczyła granicę Nowej Marchii na Warcie gdzieś pod Santokiem, gdzie do husytów dołączyły oddziały z Wielkopolski. Za Wartą rozciągały się terytoria należące wówczas do Krzyżaków.

Jak na średniowiecznych bolszewików przystało, wyczynom husytów towarzyszyła celowo przez nich podsykana przerażająca propaganda. Husyci dla jej podtrzymania stosowali wobec pokonanych nieprawdopodobne okrucieństwo. Siejąc strach,

osłabiali wolę oporu przeciwników. Lepiej było być złupionym, jak zabitym w okrutny sposób. Poprzedzane czarną sławą połączone wojska podeszły 5 czerwca pod mury Strzelec.

Tu poza mieszkańcami na agresorów czekał oddział 60 rycerzy konnych wójta krzyżackiego Henryka von Rabensteina oraz najemnicy, czyli rycerstwo z zachodu Europy, na gościnnych występach pod wodzą rycerzy z Łużyc: Henryka von Maltitz, Fryderyka Zalsa i innych. I jak można się było spodziewać, popędzani złą sławą husytów, owi goście zakonu w większości czmychnęli, zostawiając miasto na pastwę husycko-polskiej armii. Przez cały długi dzień 6 czerwca mieszczanie i ludzie wójta bronili się zaciekle z murów miejskich. Ale wtedy oblegający zastosowali wojenny fortel. Po jednej stronie miasta po zawieszeniu ostrzału podjęli negocjacje z obrońcami, a po jego przeciwnej stronie, korzystając z płytkich fundamentów, uczynili podkop pod murami obronnymi, którym wdarli się do miasta.

Nastąpiła tradycyjna rzeź. Podpalono domy i kościoły, zabijano każdego uzbrojonego mężczyznę. Rabowano wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, wszak proch

i armaty kosztują. Jedynie Fryderyk Zals z kilkoma sługami uciekł. Znęcano się nad dziećmi i kobietami. Szczególnym pretekstem do okrucieństw była obecność w mieście emigranta czeskiego, prowadzącego wraz z miejscowym duchowieństwem antyhusycką propagandę. Ów Czech wygnany z ojczyzny, proboszcz i miejscowi augustianie mieli wygłaszać kazania potępiające husytów. Za to ów Czech i proboszcz zostali wrzuceni do beczek ze smołą i żywcem usmażeni, czym dowiedli, że mieli słuszość w sprawie husytów. Przeora klasztoru augustianów i dziesięciu innych mnichów spalono w klasztorze. Sam klasztor został ograbiony i zniszczony, a skutki jego degradacji opisywał jeszcze po stu latach, w 1537 roku, opat z Bierzwonika, niejaki Otto. Kroniki milczą o wielkości łupu wywiezionego przez husytów ze Strzelec.

Skutki wojny

Ze Strzelec wojska polsko-czeskie ruszyły na Gorzów, który od 15 czerwca krótko i nieskutecznie obległy. Potem splądrowały opuszczony przez mieszkańców Myślibórz, podobnie Lipiany, Mieszkowice i 20 czerwca bez sukcesu oblegały Chojnę. Spod Chojny ruszyły pospiesznie na Pomorze Gdańskie. Co tam robiły, nas już nie interesuje.

Przemarsz wojsk polsko-czeskich nie zakończył jeszcze grozy wojny. Nastąpiły wszystkie negatywne jej skutki. Pola były strątowane, zbóż nie zdołano zebrać, co przyniosło głód, a z nim choroby. W Nowej Marchii zapanował chaos. Grasały bezkarne bandy najemników, którym zakon nie wypłacił żołdu. Krzyżacki wójt nie mógł nikomu zagwarantować bezpieczeństwa. Załamała się gospodarka. Spadły dochody, jakie zakon czerpał z podatków. Mało tego, musiał zgodzić się na przywileje. Strzelce dla odbudowy otrzymały we wrześniu 1433 roku prawo wyrębu drzew w lasach zakonu na pięć lat. Dobiegł koniec, zniszczony jeszcze bardziej, w ciągu lat dziesięciu. Myślibórz i Lipiany przez dwa lata.

Wielki mistrz Paul von Rusedorf w 1437 roku zezwolił Strzelcom na zbiórkę funduszy dla odbudowy kościoła i zakupu dzwonów. Podobną zgodę otrzymali w 1438 roku augustianie strzeleccy. Dzwony zapewne, jak to bywa na wojnach, zarabowano, by przetrzymać je na armaty. To powtarzający się motyw wojennych strat.

Katastrofalna sytuacja miasta i spustoszonego przez husytów kraju spowodowała, że zakon postanowił pozbyć się kosztownej Nowej Marchii. Kupił ją elektor brandenburski Fryderyk II.

Ziemia Odzyskana

Aldona Reich

Powieść
w odcinkach,
część 18

Część 18

Kolacja rzeczywiście nie była zbyt wystawna, ale Marta z całą pieczołowitością zadbała o szczegóły dekoracji stołu. Kupiła nawet kilka świeczek, które umieściła w szklanych kloszach, aby lepiej rozprasały światło. Ponieważ aranżacja mieszkania nie przewidywała, niestety, stołu, spotkanie miało przebiegać w kuchni, w której dopiero dziś widać było ślady jej użytkowania. Do tej pory Marta ograniczała się do zrobienia sobie śniadania czy kolacji, a obiady stanowiły gotowe dania wymagające tylko odgrzania lub raz na jakiś czas jadała na mieście. Tego wieczoru wybór padł na spaghetti bolognese: łatwe do wykonania, w miarę lekkie i na pewno smaczne. Dopiero gdy usłyszała dźwięk domofonu, zdała sobie sprawę, że takie spotkanie może stanowić w znajomości z Wiktorem prawdziwy kamień milowy. Na szczęście będą razem wychodzić, a to rozwiewa ewentualne rozterki. Po chwili Wiktor kurtuazyjnie zapukał, a usłyszawszy jej głos:

- Wchodź, wchodź, otwarte! - wszedł do mieszkania.
- Dobry wieczór - uśmiechnęła się do niego Marta. - Nie było problemu z parkingiem?
- Dobry wieczór - odpowiedział. - Stanałem dwa bloki dalej, ale mam za to lepszy wyjazd. Pada coraz mocniej... - Zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w przedpokoju.

Marta zauważyła, że Wiktor przyniósł ze sobą jakąś torbę.
- Bąbelki? - zapytała domyślnie.
- Też - odparł Wiktor z tajemniczym uśmiechem. - Zostawię to tutaj, i tak zdążyłem potem zgnarzać. Albo zmoknąć - dodał z rezygnacją. - Jak my.
- Nie rozpuścimy się przecież - powiedziała Marta pocieszająco. - Zapraszam - wskazała wejście do kuchni. - Zjemy tutaj, bo nie cierpię męczyć się przy ławie i jeść niemal w kucki - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

- W kuchni zawsze jest najprzyjemniej - zapewnił ją. - Ładnie pachnie - pociągnął nosem i zataił dłonie. - Nie masz wrażenia, że zwykle najlepsze Polaków rozmowy toczą się właśnie tutaj? Nagle się okazuje, że impreza przenosi się na zaplecze i dopiero tam nabiera rumieńców - mruknął porozumiewawczo.

- Coś w tym jest... - przyznała Marta po namyśle. - Siadaj tutaj - odsunęła jedno z krzeseł. - Ja muszę mieć dostęp do kuchenki.

Po chwili na stole wyładował półmisek z pachnącym oregano sosem bolońskim, hojnie rozlanym po spaghetti.

- Lubisz? - Zanim zdążył odpowiedzieć, roześmiała się. - Zresztą i tak już za późno na takie pytania... Smaczno!

Zaczęli jeść i chyba oboje odczuli to jako ulgę, bo nagle jakoś zabrakło tematów do rozmowy. Marta ukradkiem obserwowała Wiktora: był dobrze ubrany, widać było, że się postarał.

- I jak? - zapytał nagle Wojda i Marta aż drgnęła. - Dobrze wypadłem?

Ewidentnie złapał ją na tej obserwacji i Marta poczuła się niezręcznie. Uśmiechnęła się wymijająco i stwierdziła:

- Powiem ci... w przyszłym roku.
- A to nie ma problemu: tyle akurat wytrzymam. Ja za to mogę stwierdzić tu i teraz, że ty prezentujesz się znakomicie.

Marta nie była pewna, czy to był komplement, czy raczej drobna uszczypliwość.

- Nie bardzo rozumiem, po co się tak wygłupiamy... Przez telefon idzie nam znacznie lepiej, nie uważasz?

- Boże, myślałem, że tylko ja tak się napinam - roześmiał się Wiktor. - Dobrze, że jest nas więcej...

Już w nieco luźniejszej atmosferze skończyli posiłek i Marta zebrała ze stołu brudne nakrycia. Ostrożnie włożyła je do zlewu i wstawiła ekspres.

- Masz zmywarkę? - zapytał Wiktor. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Mam...

- To wstaw naczynia od razu do zmywarki - zabrzmiało to jak pocieszenie i Marta poczuła dziwny dyskomfort.

- Mam teraz gościa - stwierdziła. - I tak teraz usiadziemy w pokoju, więc pełny zlew nie będzie nikomu przeszkadzał.

- Oczywiście, ja tak tylko... - wycofał się Wiktor. - Pomóc w czymś?

- Nie. Idź do pokoju, ja zaraz przyjdę z kawą.

Wiktor posłusznie przeniósł się do niewielkiego salonu, w którymoczesne miejsce zajmowała ubrana na złoto choinka. Pomyślał z zalem, że w jego domu nie było choinki od kilku lat: nie było dla kogo się starać, bo i tak Wigilia była zwykle u córki.

Usiadł na jednym z foteli i zerknął w stronę Marty krzątającej się w kuchni. Była inna, zupełnie inna niż... Szybko zacisnął pięści i w ostatniej chwili uspokoił przyspieszający oddech. „Nie robisz nic złego” - powiedziała wtedy Jowita. Może jednak miała rację? Bo on był wciąż pełen wątpliwości.

- Mam też jakieś ciasto - usłyszał głos Marty. - Ale tym razem już wcześniej zapytam, czy lubisz takie uzupełnienie kawy?

- A znasz faceta, który... nie lubi?

Marta ostrożnie postawiła na stole filiżanki z kawą, a po chwili doniosła talerz z ciastem.

- Twoje?
- Skoro kupiłam, to... moje - powiedziała z powagą. - Uprzedzałam: kuch-

nia to nie moje królestwo. Poza tym gotowanie dla jednej osoby nie jest zbyt wymagające.

- Michał nie chciał, żebyś jednak z nimi zamieszkała? - zapytał po chwili Wiktor.

- Ja nie chciałam. Tak jest lepiej, każdy czuje się swobodnie - wzruszyła ramionami Marta. - Chciałbyś mieszkać z rodzeństwem? To wbrew naturze.

- Masz rację... Ja odczułem ulgę, gdy córka się wyprowadziła. Często się spotykamy, rozmawiamy, ale każdy ma już swoje terytorium ze swoimi zasadami.

Dopiero teraz Wiktor zorientował się, że z radia sączy się jakaś przyjemna muzyka, a nie - jak zwykle u niego - trzeszczy telewizor. Było ciszszej, przytulniej, a przede wszystkim - spokojniej.

- O której wychodzimy? - zapytał, mając nieuzasadnioną nadzieję, że Marta jednak stwierdzi, że woli zostać w domu. Z nim...

- No nie wiem - zastanowiła się. - Jest po dwudziestej pierwszej, możemy nawet zaraz. Włóż tylko jeszcze jakiś sweter i jestem gotowa. Pasuje?

- Tak - przyznał, z trudem tłumiąc rezygnację. - Oby tylko przestało padać...

Marta dopiła kawę i zniknęła w sypialni. Gdy wyszła, Wiktor kończył nstawiać zmywarkę.

- Ale jesteś uparty...

- Po prostu milej ci będzie wrócić do domu i już nie martwić się o naczynia - uśmiechnął się przepraszająco. - Gotowa?

Szli dość szybkim marszem przez deszczowe miasto, jakby na pocieszenie spowite w kolorowe i migające dekoracje, widoczne w niemal każdym oknie.

- Spieszymy się gdzieś? - zapytała lekko zdyszana Marta. - Odwykłam od takich marszobiegów. Zwolnijmy...

Wiktor uśmiechnął się z triumfem.
- Ja pracuję nad kondycją cały rok, zachęcam.

- Daj spokój - sapnęła. - Muszę złapać oddech.

Minęli właśnie rondo przy skrzyżowaniu Batorego i Dworcowej i kierowali się w górę ulicy Kupieckiej. Nagle Wiktor złapał Martę za rękę, a widząc jej zdziwiony wzrok, wyjaśnił:

- Podholuję cię nieco.

- A ja myślałam, że po prostu chcesz iść ze mną za rękę... - przekornie przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy. - Tak czy nie?

- Tak - odparł Wiktor i mocniej ujął jej dłoń. - Nie masz nic przeciwko?

- Nie mam - uśmiechnęła się. Spojrzała w kierunku świateł przy skrzyżowaniu z Westerplatte. - Skręcamy?

Z oddali słychać już było, że impreza się zaczęła. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że zwolenników takiej formy witania Nowego Roku było całkiem sporo i wciąż ich przybywało.

- Robi się tłum - Marta miała lekko wystraszony wzrok. - Może lepiej trzy-



FOT. MARIUSZ KAPALA

majmy się nieco z dala... I tak będzie wszystko słychać i widać.

Odeszli w kierunku fontanny i wtedy Wiktor pokazał to, co - oprócz szampana - skrywała jego torba, czyli aparat fotograficzny.

- Stań tam, na tle tych światełek, zrobię ci ładne zdjęcie - zaproponował, sprawdzając jakieś ustawienia.

- Chodzisz z takim arsenałem? - zdziwiła się Marta, zaglądając mu przez ramię. - Nie sądziłam, że ktoś jeszcze robi amatorskie zdjęcia czymś innym niż komórka - roześmiała się, ale podeszła do wskazanego przez Wiktora miejsca. - Idealna sceneria: nie będzie widać twarzy.

- Nie lubisz być fotografowana?

- Nie miałam szczęścia do fotografów - wzruszyła ramionami. - Już? - zapytała, gdy usłyszała, że migawka na moment ucichła.

- Jeszcze kilka, tak dla pewności, dobra?

Pokiwała głową i odwróciła się w stronę światełek fontanny. Przypomniała się jej dekoracja, jaką ojciec przed świętami zawieszał na drzewkach rosnących przy domu. Śmiała się, że tandeta, żenada i w ogóle obciach, ale lubiła je przecież i zawsze na nie czekała. A potem nie było już nic... Przymknęła powieki.

- Wszystko w porządku? - usłyszała głos Wiktora.

Pokiwała potakująco głową.

- Która godzina?

- Jeszcze nie ma dziesiątej - Wiktor rozejrzał się wokół. - Może rzeczywiście przejdźmy się gdzieś, bo za chwilę zaczniemy naprawdę marznąć. Ale gdzie?

- Tam - Marta wskazała na deptak. - Ładnie to wygląda, pewnie bliżej ratusza będzie tych ozdób więcej. No chodź! - pociągnęła go za rękaw. - Aparatu nie chowaj, zrobisz fotoreportaż - zaproponowała.

Wiktor przewiesił taśmę aparatu przez głowę i ponownie chwycił Martę za rękę.

- Nie zimno ci?

- Nie, jest bardzo przyjemnie - spojrzała na niego znacząco. - Wiesz, ile jest tych Bachusików w mieście? - wskazała na mijaną figurkę.

Wiktor pokręcił przecząco głową.

- Pięćdziesiąt siedem - powiedziała z triumfem.

- Liczyłeś?! - roześmiał się Wiktor.

- Tak - odparła z powagą. - Przez ostatnie dni szukałam tematów do rozmowy podczas spaceru. - Ponieważ Wiktor spojrzał na nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: - Nie mogę tylko słuchać. A wiesz, w którym roku zamontowano pierwsze figurki? - Wiktor nie odpowiedział, więc zrobiła to za niego: - W dwa tysiące dziesiątym! Ale nie pamiętam, który to...

- Ale się rozgadałaś - z uznaniem stwierdził Wojda. - Nie mam kiedy się wstrześcić.

- Nie nabijaj się...

- Nie śmiałbym - powiedział z udawaną powagą. - Ale to pewnie dlatego, że jest ciemno i słabo się widzimy - nie wytrzymał i parsknął śmiechem. - Trochę jak przez telefon.

Spacerem dotarli pod ratusz, potem pod Planetarium, a gdy niemal dotarli do Palmiarni, został kwadrans do północy. Od jakiegoś czasu już nie padało i zrobiło się całkiem przyjemnie.

- Musimy przyspieszyć - stwierdził Wiktor, spojrzawszy na zegarek. - Bo przepadnie nam toast i pokaz sztucznych ogni.

- W sumie... - Marta rozejrzała się po wzgórzu - możemy zrobić to tutaj - zaproponowała.

- Serio?

- A jakie to ma znaczenie? Stąd też będzie wszystko widać.

- Ty tu rządzisz - powiedział Wiktor. - Podejdźmy tylko bliżej Palmiarni i tam sobie znajdziemy jakąś ławeczkę i napijemy się tych bąbelków. - Nagle roześmiał się: - Jak za smarkacza!

Punktualnie o północy Wojda z wprawą zawodowca otworzył butelkę i uważnie rozlał jej zawartość do plastikowych kieliszków, które wyciągnął z czeluści swojej torby. Dziwnie spięci złożyli sobie życzenia i wypili toast za pomyślność. A potem Wiktor przyciągnął Martę do siebie i, kompletnie nie zważając na ludzi, którzy nagle wysypali się z balu celem podziwiania pokazu sztucznych ogni, już od jakiegoś czasu rozświetlających niebo, pocałował.

Życzenia dla Polski

Adam Ruszczyński
Publicysta Radia Zachód



Nie tylko Lubuskie

Mamy wątle historyczne tradycje państwa dobrze zorganizowanego i silnego. Jeszcze wiele musi się zmienić żebyśmy znów zostali europejskim graczem a nie cudzym zapleczem gospodarczym i biorcą bezpieczeństwa od paktu NATO.

Siła i słabość

Siła w dziejach Polski była związana z wolą mocy. Indywidualną lub zbiorową. Mieszko I stworzył podstawy swojego prywatnego państwa na handlu niewolnikami i sile skandynawsko-słowiańskiej drużyny. Gdy nadchodziły międzynarodowe kłopoty lawirował sprytnie pomiędzy Czechami, Papieństwem i Cesarstwem. Jego syn Bolesław był na tyle silny, że Cesarz Otto III, pół Grek i w połowie Niemiec, uznał go za swojego bliskiego współpracownika w dziele jednoczenia Europy. Bolesław Chrobry miał na tyle pieniędzy żeby wystawić armię, z którą zawitał do Pragi stolicy Czech i do Kijowa rządzonego wcześniej przez Wikingów. Potrafił upokorzyć niemieckiego Cesarza Henryka II zadając mu kilka dotkliwych klęsk. Był na tyle przenikliwy politycznie, że wiedział kogo należy przekupić w Rzymie aby uzyskać dla siebie koronę. Ale nie zdołał powstrzymać swoich poddanych, którzy wywołali za jego rządów antychrześcijańskie powstanie. Tak zwani Piastowie polscy mieli więcej słabości niż siły. Tylko jeden z nich zaskoczył na przydomki Wielki. W ciągu 37 lat władzy wzmożił dochody monarchii, stosował rozumny interwencjonizm, prawo zwyczajowe zastępował pisanym, zbudował system kamiennych twierdz i powiększył terytorium państwa. Bogactwo Królestwa Polskiego i jego poddanych rodziło się na ogół poza polami bitew. Kazimierz Wielki przygotował podstawy pod przyszłe zwycięstwo Polski i Litwy nad świetnie zorganizowanym, bogatym i wpływowym politycznie zakonem krzyżackim. XVI wieczna Polska modernizowała się politycznie pod wpływem ruchu szlacheckiego reprezentowanego przez takich ludzi jak dziedziczny wójt Wolborza Andrzej Frycz Modrzewski. Z drugiej zaś strony organizowała się magnacka oligarchia, która często szukała wsparcia dla swoich



Warszawa, 15 sierpnia 2018 r., Wielka Defilada Niepodległości

projektów poza granicami Królestwa Polskiego. Radziwiłowie w XVII wieku grali często na oderwanie Litwy od Rzeczypospolitej. To co się wydarzyło w latach 1648 - 1660 oznaczało katastrofę demograficzną i gospodarczą, z której monarchia polska już się nie podniosła. Spektakularne zwycięstwo pod Wiedniem było jak lifting twarzy konającego. Przyrosty siły i spektakularna słabość były cechami Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Pod koniec 1618 roku liczyła około miliona kilometrów kwadratowych. Była dwukrotnie większa od ówczesnej kontynentalnej Francji. A 177 lat później zniknęła z map Europy. Sami Polacy potraktowali zmartwychwstanie Polski w kategoriach cudu. Któż liczył na upadek trzech dynastii, które zorganizowały międzynarodową zbrodnię zaborów? Kilkuletnie odzyskiwanie niepodległości związane było ze zbiorową wolą mocy ówczesnych Polek i Polaków. Powstanie Wielkopolskie, odparcie najeźdy bolszewików i Powstania Śląskie robiła najbardziej pa-

Przez stulecia w Rzeczypospolitej trwał niezwykle system ustrojowy, w którym naród szlachecki decydował o wyborze władców, o sojuszach i wojnach.

triotyczna część narodu. Polski nacjonalizm zatryumfował nad komunistycznym internacjonalizmem i dzięki niemu mieliśmy 21 lat państwowej suwerenności. W 1945 roku nawet komuniści radzieccy i rodzimi nie ośmielili się sprowadzić dawnej monarchii polskiej do roli bezwzględnie posłusznej moskiewskiej republiki. Polska Rzeczpospolita Ludowa była przetrwalnikowym bytem, w którym znaczna część narodu nie zapomniła o własnej historii i kulturze. Okazało się to atutem w 1990 roku, w drodze powrotnej na zachód Europy. Przez stulecia w Rzeczypospolitej trwał niezwykle system ustrojowy, w którym naród szlachecki decydował o wyborze władców, o sojuszach i wojnach.

Chcieć i móc

Siła jest wypadkową ambicji i możliwości. Ambicji nam nie brakuje. Uczymy się również wykorzystywać dostępne możliwości. Po katastrofie sprywatyzowania niemal całego majątku narodowego w wykonaniu tzw. liberałów z Gdańska, zauważyliśmy konieczność budowy nowoczesnej gospodarki narodowej choćby dlatego, że intelektualnie stać nas na to żeby być czymś więcej niż czymś podwykonawcą. Dziś należy to traktować jako brak mądrości wynikający z własnych błędów i projektów sił zewnętrznych wobec naszego rynku.

Oczywiście nie ma mowy o budowie jakiegokolwiek autarkii ekonomicznej bowiem oddaliśmy częściowo nasz rynek w zamian za dostęp do europejskich rynków zbytu i technologii. Ale w tym wszystkim warto zachowywać zdrowy rozsądek ponieważ za określonymi technologiami stoją interesy państw i rozmaitych grup nacisku. Tak właśnie jest z energetyką i pieniędzmi na jej wsparcie. Nowy koalicyjny rząd Niemiec zamykając elektrownie atomowe usiłuje przeforsować w Unii Europejskiej swoją wizję zielonego ładu zmierzającego do budowy gospodarki działającej przejściowo w oparciu o gaz z Nord Stream 2, a docelowo wykorzystującej w przyszłości odnawialne źródła energii i wodór. Dlatego władze Niemiec nie chcą zaliczyć energetyki atomowej do tzw. zielonej energii, z którą wiązałyby się unijne dopłaty do budowy nowych reaktorów w UE. Ta niemiecka projekcja siły powoduje, że poszukujemy sojuszników, którzy nas wesprą w budowie dużej energetyki atomowej. Czasy kiedy pobierałyśmy korepetycje polityczne i gospodarcze od Niemiec już minęły. Życzę nam wszystkim żebyśmy zdecydowali się na francuską technologię atomową, co ma również i tę zaletę, że Francja i Polska sprzeciwia się interesom niemieckim. W kwestii wodoru jako technologii przyszłości, sporu

z Niemcami nie ma, gdyż polski rząd przyjął niedawno ambitną strategię wodorową mającą perspektywę do 2040 roku. Jej celem jest zastosowanie wodoru w transporcie, w energetyce i zapewnienie jego magazynowania i przesyłania do odbiorców. To się już dzieje. W Trzebini powstał pierwszy w Polsce tzw. hub wodorowy. Kolejny wkrótce powstanie we Włocławku. PKN Orlen, który za tym stoi planuje produkcję 50 tys. ton wodoru w perspektywie do 2030 roku. Powstaje w Polsce coraz silniejsza koalicja dla wodoru obejmująca koncerny państwowe i prywatne, z udziałem zagranicznego kapitału oraz instytutów badawczych i wyższych uczelni. Tauron, ZE PAK, PGNiG dysponują pieniędzmi i programami ekspansji w rosnącej branży wodorowej.

Siła i suwerenność państw tkwi w zarządzaniu zasobami energii. Życzę nam żebyśmy nie lękali się wetować kolejnych unijnych regulacji związanych z próbami rozszerzania handlu emisjami na kolejne sfery ekonomii takie jak np. transport. Potrzebujemy realizmu politycznego. Nie można akceptować polityki klimatycznej uderzającej w polską gospodarkę, miejsca pracy i wypracowaną przez lata pozycję poszczególnych branż w przestrzeni międzynarodowej. Odpuszczając sobie mrzonki o historycznym znaczeniu Trójkąta Weimarskiego warto prowadzić elastyczną politykę poszukując doraźnych sojuszników do forsowania rozwiązań zgodnych z interesami polskich pracodawców i pracowników. W XXI wieku - podobnie jak za czasów Kazimierza Wielkiego, Jagiellonów i Zygmunta III - kluczem do wzmocnienia państwa polskiego jest rozwój gospodarczy.

Lewary

Przez rok 2022 Polska będzie przewodniczyć Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. To sukces byłego ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza, któremu udało się przekonać do tego w 2019 roku 56 państw, w tym Federację Rosyjską. Polska prezydencja została przyjęta jednogłośnie. To szansa na podlegawanie wizerunku polskiej dyplomacji i możliwość zyskania wpływu poprzez OBWE na negocjacje w konflikcie rosyjsko - ukraińskim.

Życzę nam żebyśmy okazali dojrzałość polityczną i trzymali się zasady nadrzędności prawa konstytucyjnego nad tzw. prawem europejskim w obszarach gdzie nie zrzekliśmy się suwe-

renności w wyniku podpisanych traktatów akcesyjnych. Wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego w tej kwestii, odbił się szerokim echem w wielu krajach Europy. Ostatnio Rumunia odrzuciła roszczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej co do zwierzchności prawa UE nad własną konstytucją. Musimy spokojnie poczekać do wiosny na to co może się wydarzyć we Francji gdzie większość polityków ubiegających się o mandat prezydenta przywitała orzeczenie polskiego TK z entuzjazmem. Należy do nich również Valerie Pécresse kandydatka Republikanów, która

Życzę nam żebyśmy okazali dojrzałość polityczną i trzymali się zasady nadrzędności prawa konstytucyjnego nad tzw. prawem europejskim w obszarach gdzie nie zrzekliśmy się suwerenności.

odnotowuje ostatnio największe przyrosty społecznego poparcia. Jeśli Emmanuel Macron przegra wybory, powstanie poważna koalicja blokująca aktywizm sędziowski TSUE.

Dojrzałości wreszcie do tego żeby podjąć decyzje w kwestii odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo. Nie oznacza to rzecz jasna rezygnacji z parasola NATO. Musimy jednak tworzyć takie możliwości obronne, które sprawiają, że nie zostaniemy pokonani w ciągu 5 - 6 dni, ponieważ wtedy nasi sojusznicy nie zdążą nam przyjść z pomocą. Wydajemy na obronność około 14,3 mld dolarów rocznie. Niewiele mniej niż Turcja, więcej niż Szwecja. Porównajmy stan techniczny wymienionych armii z naszymi siłami zbrojnymi. Stać nas na nowe myślenie i na armię nowego wzoru o co apeluje Jacek Bartosiak. Polski think tank „Strategy and Future” sugeruje również decydującym politycznym m.in. zakup usługi wynoszenia małych satelitów o przeznaczeniu militarnym i cywilnym. Stworzy to polskiej armii nieosiągalne dotąd możliwości rozpoznania i dowodzenia a także wzmocni sektor usług gospodarczych. Własne zdolności obronne mają na celu to, żebyśmy zawsze znajdowali się przy stole rozmów ilekroć padnie słowo Polska. Zasadę „nic o nas bez nas” wymyślono przecież w Rzeczypospolitej szlacheckiej. A to zobowiązuje.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Simon White
publicysta „Gazety Lubuskiej”

Spoleczeństwo

Charyzmatycy mają przemożny wpływ na nasze życie. Wyobraźmy sobie, że nie byłoby Ronalda Reagana. Wyobraźmy sobie, że pokojowy Jimmy Carter wygrywa drugą kadencję. Czy komunizm upadłby w 1989 r.? Wątpliwe. Trawestując słynną frazę śp. niezapomnianego komentatora sportowego Zdzisława Ambroziaka (użył tego w kontekście Doroty Świeniewicz) gdyby nie było Ronalda Reagana musielibyśmy go sobie wymyślić. Charyzmatyków nikt jednak nie wymyśla, nie tworzą ich ani zacne gremia, ani zideologizowane kolektywy. Kim zatem są i skąd się biorą? Szukając odpowiedzi sięgnąłem po wszechpotężne źródła wiedzy zalegające w bezkresnym internecie. Definicja charyzmatyka istnieje, ale tylko w języku polskim i zawiera się do dwóch słów - obdarzony charyzmatami. Trudno uwierzyć, że osoby zmieniające bieg historii nie doczekały się swojej definicji. Trudno uwierzyć... Moja definicja człowieka charyzmatycznego nie pretenduje do statusu ex cathedra, ale skoro zajmuję się charyzmatykami, to postaram się ten ludzki fenomen choć trochę przybliżyć, uporządkować, dookreślić.

Decyzja jest najważniejsza

Charyzmatyk, jak soczewka skupiająca w sobie ponadprzeciętną liczbę darów, ujawnia się

Kiedy brakuje charyzmatyków świat nabiera chaosu. Oni przychodzą by go uporządkować. Wpływają na los milionów ludzi. Porywają swoją postawą, budzą szacunek ponad podziałami, są wzorem do naśladowania. Charyzmatycy to najbardziej deficytowy „towar” na świecie. Wrażenie ich powszechności wypływa z tego, że w podręcznikach historii, opisujących dzieje człowieka, to głównie ich się wymienia. Przeglądając ostatni wiek wśród charyzmatyków wymienimy pewnie: Matkę Teresę, Mahatmę Gandiego, Dalaj Lamę, Nelsona Mandelę, Donalda Trumpa, Ronalda Reagana i Jana Pawła II.

w określonych okolicznościach. Zwykle to czas kryzysu, na który on znajduje radę. Bywa jednak i tak, że czasy są dobre, ale swoim marzeniem rzuca on wyzwanie pozostałym i zbudzona tęsknota za czymś wielkim zmienia pod jego przywództwem wygodną rzeczywistość.

Charyzmatyczne przywództwo wyklucza lęk w podejmowaniu decyzji, co jest cechą codzienną małych polityków. Są oni bowiem zakładnikami tego lęku, który paraliżuje ich proces decyzyjny. Decyzja zawsze niesie za sobą konsekwencje. Strach przed podjęciem decyzji wynika z możliwości popełnienia błędu, a z unikania błędów ci politycy uczynili w ostatnich czasach sztukę. To unikanie za wszelką cenę kończy się albo niepodjęciem decyzji albo wystawieniem do jej

podjęcia kogoś zastępczego, na kogo w razie niepowodzenia będzie można zrzucić ciężar winy. W razie sukcesu oczywiście zasługę przypiszą sobie.

Charyzmatyk nie boi się decydowania, bo wie że jeśli nawet na 10 podjętych decyzji 9 okaże się błędnych, to ta jedna właściwa może być przełomem zmieniającym bieg historii. Józef Piłsudski, jeszcze jeden charyzmatyk XX wieku, mawiał że ryzyko należy podejmować wtedy, kiedy jest ono konieczne. Pytanie kto decyduje o tym „kiedy”? Właśnie charyzmatyk. Proces decyzyjny jest kluczowy, a sama decyzja najważniejsza, stąd właśnie po decyzjach najłatwiej charyzmatyka rozpoznać.

„nie dbaj o to, czy przeżyjesz”

Charyzmatyk nie boi się konfrontacji. Mówi bez kartki, bo

wie co ma do powiedzenia. Mówi jednoznacznie, naturalnie, szczerze i co najważniejsze jest człowiekiem swoich słów. Porywa wiarą, przekonaniem i entuzjazmem, które stanowią wykładnię jego autentyczności. Ma marzenia i podąża za nimi. Liczy się dla niego nadrzędny cel i jego realizację wszystko inne jest podporządkowane. Więcej widzi i dostrzega. Przewiduje. Jest symultaniczny i analityczny.

Paulo Coelho napisał kiedyś, że droga ważniejsza jest niż cel. Nie dla charyzmatyka. Dla niego bowiem cel jest istotą. Droga ma znaczenie o tyle, o ile do niego prowadzi. Cel jednak nie uświęca środków i obce jest charyzmatykowi działanie za wszelką cenę. Są ceny, których nie zapłaci. Charyzmatyk nie znosi stagnacji stale podwyższając

poprzączkę. Rozwój napędzany wewnętrznym ogniem. Pracowitość jest jego mottem. Nie spala się w trudach realizacji celu lecz w nich wzrasta. Błyskawicznie podnosi się po porażkach, bo wie, że zwycięstwo nie będzie czekać. Rzadko okazuje emocje.

I nie dba o to, czy przeżyje. I oczywiście rozumiem to w szerszym pojęciu. Także metaforycznie, bo charyzmatyk tak czy inaczej poświęca swoje życie. Jest taka scena, zaraz na początku kostiumowego romansu historycznego „Rycerz Króla Artura”, kiedy grany przez Richarda Gere’a Lancelot udziela rad świeżo pokonanemu w pojedynku Markowi.

- Jak to zrobiłeś? Jak on to zrobił? To jakaś sztuczka?

- Nie. Ja tak walczę.

- Ja też bym tak umiał? Powiedz. Nauczę się.

- Obserwuj przeciwnika, a będziesz mógł przewidzieć, co zrobi.

- To potrafię.

- W każdej walce jest chwila, gdy waży się twój los. Czekaj na nią.

- To też potrafię.

- Nie dbaj o to czy przeżyjesz.

- ...

To jedyna usprawiedliwiona niedbałość jaką znam. W przypadku charyzmatyka warunkująca jego istnienie. Nawet jeśli ktoś ma mnóstwo talentów i wiele potrafi, ale życie własne będzie dla niego cenniejsze od poświęcenia, nie jest charyzmatykiem. Charyzmatyk nie zważa bowiem na życie własne. Kiedy Aleksander Macedoński podbił ówczesny świat nie obserwował z rydwanu swoich wojsk jak Dariusz III pod Gaugamelą, ale walczył w pierwszym szeregu. Mógł zginąć, wiele ryzykował, wszystko, ale właśnie tą najważniejszą dla charyzmatyka cechą porwał swoich ludzi, którzy pokonali pięciokrotnie liczniejszą armię perską. Nie dbał o to, czy przeżyje.

Suplement

Charyzmy nie można wyczytać z książek, wyszkolić na partyjnych spotkaniach, nie można też jej kupić. Charyzmatykiem trzeba się urodzić.

Charyzmatyk nie grzeje się w blasku własnego światła, ale świeci innym by mogli stać się ponad miarę swoich o sobie wyobrażeń, by mogli wznieść się ponad swoje możliwości.

Charyzmatyk jest jak dźwięk gromu, którego nawet jeśli nie zobaczysz, świat twój przeniknie, jakby wszechświata centrum było właśnie w nim i jakby jego duszę tkął kosmiczny pył.

Władimir Putin i syndrom gotowanej żaby

Jeśli żabę umieścimy w letniej wodzie i będziemy wodę powolutku podgrzewać, to żaba nie poczuje tej zmiany i zostanie ugotowana na śmierć, podczas gdy wrzucenie żaby do gorącej wody powoduje, że ona niezwłocznie wyskakuje - pisze Kazimierz Dadak, profesor ekonomii, Hollins University, USA

Kazimierz Dadak
redakcja@polskapress.pl

Świat

Od ponad trzech dekad Amerykanie podnosili temperaturę wody, w której kąpali się najpierw Borys Jelcyń, a potem Władimir Putin i w końcu ten drugi poczuł, że jest już niemal ugotowany i wyskoczył z wanny. 17 grudnia Rosja wystąpiła z żądaniem rozpoczęcia rozmów z USA i NATO i udzielenia jej gwarancji bezpieczeństwa.

Proszę zauważyć, Rosja domaga się gwarancji bezpieczeństwa od Zachodu. To znaczy, że czuje się zagrożona i słaba. Potężna Rosja niczyich gwarancji by nie potrzebowała. ZSRR żadnych gwarancji nie wymagał, bo sam był w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Trudno zgadnąć, co spowodowało tę nagłą reakcję. Czy wieść o tym, że Ukraina z brytyjską pomocą w przyspieszonym tempie zbuduje dwie bazy morskie, z czego jedną na Morzu Azowskim, które Rosja praktycznie traktuje jak swoje własne? Czy też jednak Putin wykazał się większą bystrością od żaby? Albowiem woda była podgrzewana od dawna i gdyby niżej podpisany zaliczał się do rusofilów (a w żadnym przypadku tego nie da się zrobić), toby zakrzyknął - dopiero teraz!

Delikatne podgrzewanie wody

Zaledwie 33 lata temu całkowicie kontrolowany przez Moskwę Wschodni Blok sięgał Łaby i Soławy (Saale). Od Magdeburga do Brześcia nad Bugiem (granicy ZSRR) było prawie 900 km, więc moskiewscy tyrani mogli czuć się bezpieczni. Od tego czasu na mapie politycznej zaszły ogromne zmiany.

W 1989 roku w Polsce PZPR straciła monopol władzy, rok

później doszło do zjednoczenia Niemiec, a w 1991 roku został rozwiązany Pakt Warszawski. W tym samym czasie Estonia, Litwa i Łotwa rozpoczęły marsz ku wolności, ale ciągle pozostawały w ramach ZSRR. Dopiero nieudany pucz Janajewa w sierpniu 1991 r. i rozpad ZSRR w grudniu tego roku przypieczętowały proces trwania przez Rosję pozycji supermocarstwa. Niemniej, te wydarzenia nie spowodowały marszu NATO na wschód. Między Federacją Rosyjską a NATO powstała „ziemia niczyja”, która nadal dawała Rosji ogromną głębię strategiczną.

Trzeba pamiętać, że nawet traktat dotyczący zjednoczenia Niemiec nie pozwalał na rozmieszczenie tam dodatkowych niemieckich wojsk, rozbudowę istniejących baz czy ulokowanie tam broni masowego rażenia. W owym czasie kwestia rozszerzenia NATO na wschód w ogóle nie była brana pod uwagę i nie była poruszana podczas tych negocjacji przez Sowietów. Ten fakt pozwolił USA na rozpoczęcie długiego procesu powolnego „podgrzewania wody”.

W 1994 roku stworzono program Partnerstwo dla Pokoju, w ramach którego Polska, Czechy, Węgry i Słowacja nawiązały bliższą współpracę wojskową z NATO. Dwa lata później te kraje rozpoczęły „dialog” na temat przystąpienia do Paktu i w grudniu 1997 r. zostały podpisane protokoły akcesyjne przez Polskę, Czechy i Węgry. Formalnie kraje te stały się członkami NATO w 1999 r.

W tym czasie Rosja coraz bardziej pogrążała się w chaosie gospodarczym i politycznym. W latach 1994-96 trwała niesłychanie brutalna i krwawa I wojna czeczeńska, która wykazała niezwykłą nieudolność armii rosyjskiej. Kontrolę nad gospodarką przejmowali oligarchowie i Federacja Rosyjska zaczęła przypominać rozkładające się państwo polskoliteńskie z XVIII wieku. Właśność publiczna była rozkradana na niespotykaną skalę

i skutkiem tego w sierpniu 1998 r. nastąpił krach gospodarczy. Rząd rosyjski ogłosił niewypłacalność!

Moskwę trapiły dużo większe zmartwienia niż przesunięcie się NATO na wschód. Ponadto na obszarze właśnie przyjętych państw nie miały pojawić się obce wojska. Zatem rosyjska sytuacja strategiczna uległa pogorszeniu, ale nie aż tak wielkiemu. Temperatura wody tylko nieznacznie się podniosła i dzięki temu nieustannie zagładający do kieliszka Jelcyń cały czas trwał w błogim poczuciu bezpieczeństwa.

Pięć lat później do NATO zostało przyjętych siedem kolejnych państw. Tym razem Rosja wyrażała sprzeciw, szczególnie przeciwko przyjęciu Estonii, Łotwy, Litwy, ale nie doszło do ostrego konfliktu. Ten rozwój sytuacji zadziwił, ponieważ w przypadku porty poszerzenia NATO na wschód, Pakt zawitał do wrót Rosji. Estońska Narwa jest oddalona od St. Petersburga tylko o 150 km, więc to kluczowe miasto i znajdujące się w jego okolicy porty znalazły się w polu rażenia rakiet krótkiego zasięgu. Ust-Ługa, największy na Bałtyku rosyjski terminal kontenerowy i paliwowy, gdzie też znajduje się stacja początkowa gazociągu Nord Stream II, od granicy estońskiej jest oddalony o niespełna 30 km. Całe rosyjskie okno na świat w Zatoce Fińskiej, które z takim trudem wywalczył car Piotr I, po utracie Estonii jest pod ostrzałem artylerii nabrzeżnej, bo szerokość tej zatoki to zaledwie 50 km. Bez przesady można powiedzieć, że Rosji założono pętlę na szyję i Kreml to przełknął!

W latach 90. Rosja coraz bardziej pogrążała się w chaosie. Kontrolę nad gospodarką przejmowali oligarchowie

Rosja nadal była zbyt pochłonięta sprawami wewnętrznymi. Toczyła się II wojna czeczeńska. Ciągłe trwała walka z oligarchami. Michaił Chodorkowski, właściciel Jukosu i najbogatszy człowiek w Rosji, który wówczas rozważał sprzedaż tej największej rosyjskiej firmy naftowej amerykańskiemu Exxonowi, właśnie znalazł się w więzieniu, ale zmagania o przejęcie tego kolosa dopiero były w toku. Rzecz musiała zostać rozstrzygnięta także przez sądy amerykańskie, więc Putin był trzymany w szachu. Ogólnie rzecz biorąc Federacja Rosyjska była daleka od przezwyciężenia słabości wojskowej i gospodarczej.

Amerykanie także podetknęli Rosjanom pod nos marchewkę, najpierw w postaci Północnoatlantyckiej Rady Współpracy, która przerodziła się w Partnerstwo dla Pokoju, a w 2002 r. doszło do powstania Rady NATO-Rosja. Przed Władimirem Putinem rysowała się możliwość wejścia do NATO, więc skoro tak, to fakt pojawienia się forpoczty tej organizacji w okolicach St. Petersburga nie jawił się aż tak groźnie. W jego odczuciu temperatura wody podniosła się tylko nieznacznie i nie było powodu, żeby wyskakiwać z kąpielni.

Nie bez znaczenia były także osobiste stosunki pomiędzy George'em W. Bushem i Władimirem Władimirowiczem. Podczas pierwszego spotkania pomiędzy tymi prezydentami w 2001 r., G.W. Bush miał spojrzeć Putinowi prosto w oczy i ujrzyć jego „duszę”, która była „prostoliniowością”. Amerykański przywódca uznał swego rozmówcę za „godnego zaufania”. Zapraszał go często w odwiedziny, włącznie z prywatnym rancho w Teksasie. Rosyjski satrapa nie pozostawał mu dłużny.

Jednak w końcu realia polityki światowej wzięły górę i miłość pomiędzy nimi wygasła. W 2007 r. podczas dorocznej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa Władimir Władimirowicz popełnił polityczne

seppuku, oskarżył USA o nieokiełznane używanie siły i łamanie międzynarodowych układów i praw. Jednym słowem, podważył moralne kwalifikacje USA do przewodzenia światu. Za Atlantykiem nigdy tego mu nie zapomniano. Rosja stała się nowym wcieleniem ZSRR ze wszystkimi tego konsekwencjami.

W tym kontekście w 2008 r. doszło do krótkiej wojny rosyjsko-gruzyńskiej. Dość obszerny raport UE na temat jej genezy i przebiegu jest nieco odmienny od powszechnego w Polsce postrzegania tego wydarzenia. Okazało się, że Gruzja też uciekała się do różnego rodzaju prowokacji. Kto i dlaczego ją wówczas do takiego zachowania popychał, zostawmy na boku, w każdym razie działalność Rady NATO-Rosja została zawieszona. Marchewka znikła, prawdopodobieństwo przyjęcia Rosji do NATO zmalało do zera, ale Bałtowie w NATO już byli.

„Reset” Obama

Jednak niebawem w 2009 r. przed nosem Putina pojawiła się kolejna marchewka - „reset” obwieszczony przez Baracka Obamę. Zajmijmy się nim w dwu wymiarach, amerykańskim i polskim.

Dla Waszyngtonu „reset” był koniecznością, ponieważ Stany Zjednoczone ciągle prowadziły poważne działania zbrojne w ramach „wojny z terrorem”. Demokraci są w USA powszechnie postrzegani jako „gołębie”, więc administracja Obamy czuła się w obowiązku wykazania wystarczającej dozy wojowniczości, mimo tego, że szanse na sukces wojskowy nie były wielkie. Niemniej, skoro powiedziało się „a”, to trzeba było powiedzieć „b” - podjęto decyzję o podniesieniu liczebności wojsk w Afganistanie o 50 proc.

Przerzucenie i utrzymanie zdolności bojowej kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy wymaga poważnego wysiłku logistycznego, natomiast główny szlak komunikacyjny przebiegający

przez Pakistan nie dawał pewności ciągłości dostaw. Po pierwsze Pakistan patrzył podejrzliwie na amerykańską obecność na swoich strategicznych tyłach, a po drugie Amerykanie wielokrotnie bombardowali pozycje talibów po pakistańskiej stronie granicy i nieustannie dochodziło do zatarć. Praktycznie jedynym rozwiązaniem był transport wojsk i zaopatrzenia przez obszary byłych republik sowieckich w Środkowej Azji, a bez zgody Kremla było to niemożliwe. Stąd idea „resetu”, tym bardziej że szybko okazało się, że zwiększenie liczebności wojska do 60 tys. to jest zdecydowanie za mało i gen. Stanley A. McChrystal zażądał zwiększenia kontyngentu do prawie 100 tys.

Rodzimy aspekt tej sprawy wymaga cofnięcia się do roku 2006, gdy Polska i USA rozpoczęły negocjacje na temat budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej. W 2007 r. koalicja PiS-u, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin przegrała wybory, ale rząd PO-PSL kontynuował rozmowy. Co więcej, premier Donald Tusk pozostawił wiceministra Witolda Waszczykowskiemu na stanowisku głównego negocjatora. 2 lipca 2008 r. Waszczykowski wrócił do Warszawy po zakończeniu rozmów w Waszyngtonie, gdzie wstępnie przyjął amerykańskie warunki. Oczywiście ostateczne słowo należało do duetu Tusk-Sikorski. 4 lipca rząd ogłosił, że parafowane porozumienie nie spełnia jego oczekiwań i je odrzucił.

4 lipca to w USA nie jest byle jaka data, jest to największe święcie święto, Święto Niepodległości, jedyne niereligijne święto zawsze obchodzone dokładnie w tym dniu, a nie w najbliższy poniedziałek, jak to ma miejsce we wszystkich innych przypadkach. Obwieszczenie odmownej decyzji 4 lipca to był policzek wymierzony w G.W. Busha, który w Europie był powszechnie niepopularny, i tym samym wielki ukłon w kierunku unijnych elit. Trudno jest pojąć, żeby minister Sikorski, który tyle



FOT. ALC

lat spędził w USA, był nieświadom sytuacji, a jeśli był, to znał, że w MSZ nie powinien pełnić roli powyżej odzwierciedlenia.

Miesiąc później wojska rosyjskie wkroczyły do Gruzji i panowie Tusk i Sikorski dokonali zwrotu o 180 stopni. 14 sierpnia, bez żadnych dłuższych negocjacji, porozumienie zostało podpisane.

17 września 2009 r. prezydent Obama obwieścił „reset” i zaniechanie budowy tarczy antyrakietowej. Ta data nie była przypadkowa, wszak Tusk i Sikorski nadal sprawowali swe urzędy. Supermocarstwem to nie jest jakiś kresowy magnat, który w przypiływie dobrego humoru i przy kielichu wybacza winy. Supermocarstwem jest się dlatego, że inne narody odnoszą się do danego państwa z wielkim szacunkiem, a nie drwią sobie z niego celem zaskarбления sobie łask w innych stolicach.

Niestety, ówczesna opozycja owej „aluzji” nie zrozumiała. Zamiast wylać wiadro pomył na głowy sprawców „nietaktu” popełnionego ponad rok wcześniej, wylała je

na głowę amerykańskiego prezydenta.

Od „resetu” do Majdanu

Obama polską reakcją się nie przejął, tylko zgodnie z całą amerykańską tradycją, nadal działał zgodnie z własnym interesem narodowym. W 2011 r. USA podjęły decyzję o stopniowym wycofywaniu swych sił z Afganistanu. W tym kontekście znaczenie Rosji spadło i dalsze kontynuowanie „resetu” stało się niepotrzebne.

W listopadzie 2013 r. rozpoczął się kijowski Majdan, seria protestów skierowana przeciwko rządowi Wiktora Janukowycza. Nie jest wielką tajemnicą, że wobec tych wydarzeń administracja B. Obamy nie przyjęła obojętnej postawy, ba, od lat finansowo wspierała różne organizacje pozarządowe promujące demokrację.

W grudniu 2013 r. w Kijowie pojawili się senatorowie John McCain (Republikanin) i Chris Murphy (Demokrata). Cały czas wydarzenia w Kijowie były monitorowane przez wysokich rangą urzędników w Sekretariacie Stanu (odpowiednik

MSZ), w tym przez Wiktorię Nuland, która wspólnie z ambasadorem Geoffreyem Pyatem miała istotny wpływ na skład ukraińskiego rządu po ucieczce Janukowycza.

Majdan był całkowitym zaskoczeniem dla Putina. Na upadek Janukowycza Kreml zareagował nadzwyczaj nerwowo, podjęto decyzję o inwazji Krymu i wywołaniu rebelii we wschodnich regionach Ukrainy, gdzie większość mieli Rosjanie.

Z perspektywy niemal ośmiu lat trudno mieć wątpliwości, że był to kardynalny błąd. Owszem, Rosja uzyskała kontrolę nad strategicznie niesłychanie ważnym obszarem - Krym to jest wielki bastion blokujący dostęp do południowej Rosji - ale straciła Ukrainę. Nie

Majdan był całkowitym zaskoczeniem dla Putina. Na upadek Janukowycza Kreml zareagował nadzwyczaj nerwowo

opłaciła się skórka za wyprawkę. Tym bardziej, że Ukraina nie ugięła się przed rosyjską presją i nie zawarła żadnego porozumienia z Moskwą.

Aneksja Krymu stanowiła także doskonały pretekst do faktycznego rozszerzenia NATO na wschód. Dziś jednostki NATO są obecne nie tylko w Polsce, ale i w krajach bałtyckich. Enklawa królewiecka jest w potrzasku, podobnie jak Zatoka Fińska.

Obecna sytuacja patowa nie sprzyja interesom rosyjskim i zapewne stąd ostatnie rosyjskie żądania gwarancji bezpieczeństwa i zapewnienia, że bez jej zgody do NATO nie zostaną przyjęte Ukraina i Gruzja. W końcu Putin poczuł, że siedzi we wrzasku, ale wyskakuje z niego wiele lat za późno.

Władimir Putin przejdzie do historii jako rosyjski przywódca, który utracił Ukrainę. Przed 1991 r. Ukraińcy ramieniem z Rosjanami w ramach Czerwonej Armii maszerowali na zachód, przed 2014 r. można było sobie wyobrazić te dwa narody wspólnie walczące z jakimś przeciwnikiem, nato-

miast dziś one zażarcie biją się ze sobą. Jest to rozwój sytuacji, o którym nie tak dawno mogliśmy tylko marzyć.

Ten dar spadł nam wprost z nieba. Nie przelaliśmy ani kropli krwi i nie wydaliśmy na ten cel złamanego szeląga. Ukraińskiej walce o niepodległość nawet nie udzieliliśmy zdecydowanego politycznego poparcia, co należy uznać za skandal.

Ten niezwykle korzystny obrót spraw zawdzięczamy Ameryce, która podobno nie rozumie Rosji i zdaniem różnych rodzimych ekspertów była przez nią wielokrotnie wodzona za nos. Wielki udział w tym procesie miał Barack Obama uważany za zupełnego naiwniaka w tej materii.

Zrozumieć istotę polityki

Całe polsko-amerykańskie nieporozumienie polega na niezrozumieniu istoty polityki, szczególnie międzynarodowej. Dla rodzimych polityków niesłychanie istotne są imponderabilia, próżne gesty i nieustanne pochwały innych. I najważniejsze, interesy robimy tylko z tymi, którzy wyka-

zują daleko idące podobieństwo ideologiczne.

Natomiast dla zachodnich polityków w pierwszym rzędzie liczy się wynik. Jeśli osiągnięcie zamierzonego celu wymaga od zachodniego polityka, żeby negocjować z wrogiem, to on to robi bez wahania. Nawet, jeśli sytuacja wymaga, żeby zachodni polityk „wyszedł na głupa”, to jest on skłonny to zrobić, bo ponad wszystko liczy się wynik - obrona interesu narodowego.

Na przykład prezydent Obama został podsłuchany, gdy mówił do prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, że po wyborach będzie mógł pójść na ustępstwa. Nad Wisłą zostało to oczywiście odczytane jako wyraz słabości, podczas gdy dla amerykańskiego polityka był to oczywisty „trick”, bo po wyborach pomoc rosyjskiego satrapy do niczego nie była mu już potrzebna.

Dla polskich obserwatorów powolne „podgrzewanie wody” jest równoznaczne z robieniem ustępstw, bo nasza tradycja wymaga ułańskiej szarży i spektakularnego sukcesu. Żadne żmudne i mozolne zdobywanie przewagi nas nie interesuje, podczas gdy wielka polityka to jest gra w szachy. Każdy, kto choć trochę zna tę grę, doskonale wie, że w szachach często ważniejsze jest zdobycie dogodnej pozycji niż uzyskanie materialnej przewagi.

Niebawem rozpoczną się amerykańsko-rosyjskie negocjacje. Bez wielkiego błędu można przewidzieć, że Waszyngton zrobi Moskwie ustępstwa. Nie będzie w tym nic z naiwności czy tchórzostwa, bo Amerykanie doskonale zdają sobie sprawę z tego, że czas pracuje na ich korzyść. Metoda „dwa kroki do przodu, jeden w tył” to nie był monopol komunistów. Niemniej, nie wątpię, że rodzimi znawcy będą się rozwodzić nad tym, jak to rzekomo Rosjanie znowu wystrychnęli Amerykanów na dudka.

Polskie elity nie były w stanie wyrwać Ukrainy z objęć Rosji przez ponad trzy i pół wieku, tymczasem Amerykanom zabrakło do niewiele ponad trzy dekady!

Rosja jest w niesłychanie trudnej sytuacji. Jeśli nie napadnie na Ukrainę, to z biegiem czasu niepodległość tego kraju umocni się. Jeśli napadnie, to czeka ją jeszcze gorsza przeprawa niż przed ponad 40 laty w Afganistanie.

Rosja jest supermocarstwem atomowym, ale ta broń jest użyteczna tylko w przypadku ostatecznym, gdy woda wrze i grozi ugotowanie się. Amerykanie nie dopuszczają do takiej sytuacji. Przeciwnikowi zawsze zostawiają promyk nadziei, że zdoła wydobyć się z tarapatów. Indianie mają swoje rezerwy. ©

Marcin Ryszka. Jasne strony życia w ciemności

Ma piękną żonę, uroczego synka, medale mistrzostw świata, cztery ukończone fakultety, wymarzoną pracę. Ma wiele zainteresowań, mnóstwo przyjaciół, książkę na koncie i pełno pomysłów na życie. Nie ma „tylko” gałek ocznych, nie widzi od ponad ćwierć wieku. Ale Marcin Ryszka nie jest pewien, czy chciałby odzyskać wzrok

Jerzy Filipiuk
jerzy.filipiuk@polskatimes.pl



Ludzie

Jestem racjonalistą. Jarosław Królewski (małopolski biznesmen, współwłaściciel Wisły Kraków - przyp.) zapewnia mnie, że kiedyś będę mógł prowadzić samochód, ale nie wierzę w to. Nie zaprzęgam sobie głowy takimi myślami. Jestem pogodzony z tym, że nie widzę. Znalazłem swój sposób na życie. Zastanawiałem się, czy w ogóle chciałbym odzyskać wzrok, czy to nie zmieniłoby mego życia o 180 stopni. Oczywiście to jest tylko gdybanie, bo nie wiem, jakbym się zachował, gdyby nadarzyła się taka możliwość. Dziś mam za dużo zobowiązań, projektów, by się tym zajmować - przekonuje 31-latek.

I dodaje: - Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym widział. Może poszedłbym w ślady moich braci górników, Kornela i Dawida? A może, znając mój upór i charakter, osiągnąłbym coś więcej w piłce nożnej? Ale wiem, że lubię moje życie - takie, jakie ono jest. Szanuję to, co dostałem od Boga, że mogę żyć, utrzymać się z tego, co mi sprawia frajdę, co jest moją pasją. A gdy nie chce mi się czegoś zrobić, myślę o braciach, którzy ciężko pracują w trudnych warunkach, a ja mogę zarabiać swoim głosem na uczelni i w radiu, nie muszę zjeżdżać pod ziemię. Mam ogromny szacunek dla ludzkiej pracy, i nie myślę tylko o górnictwie.

Świat widziany przez pięć lat

Marcin urodził się w Czechowicach-Dziedzicach. Stracił wzrok, mając pięć lat. Gdy miał trzy, wykryto u niego guzy w oczach. Zbyt późno. Chorował na retinoblastomę, nowotwór złośliwy oczu. Na raka siatkówki nie było wtedy ratunku. Usunięto mu obie gałki oczne. Zdążył zapamiętać, jak wyglądają na przykład trawa, stół, drzwi, pies, kot. W pamięci



Ryszka: **Lubię moje życie - takie, jakie jest. Szanuję to, co dostałem od Boga, że mogę żyć, utrzymać się z tego, co mi sprawia frajdę**

utkwiał mu tylko jeden oglądnięty film - „Król Lew”, nie kojarzy natomiast, by widział mecz piłki nożnej. Ale to, że przez kilka lat widział, dziś działa na jego wyobraźnię, ułatwia mu poruszanie się, zapewnia lepszy zmysł przestrzenny. Jego rodzice nie uprawiali sportu, ale dziadkowie interesowali się futbolem: jeden był piłkarzem, drugi działaczem, prezesem LKS-u Przełom Kaniów. W piłkę grali też jego bracia; starszy w ubiegłym roku zakończył karierę, występując w klasie okręgowej.

Gdy Marcin miał siedem lat, znalazł się w ośrodku dla niewidomych i słabowidzących przy ul. Tynieckiej w Krakowie. To tam zaczęła się jego przygoda z pływaniem, choć po-

czątkowo ogromnie bał się wody. W IV klasie podstawówki czuł się w niej już jak ryba. W gimnazjum rozpoczął codzienne treningi, trafił do reprezentacji.

Jako pływak zdobył niemal wszystko: po trzy tytuły mistrza i wicemistrza świata, dwa brązowe medale MŚ i jeden medal ME. Bił rekordy Polski i świata. Brylował w stylu klasycznym, ale stawał na podium także po wyścigach w dowol-

Usunięto mu obie gałki oczne. Zdążył jeszcze zapamiętać, jak wyglądają trawa, stół, drzwi, pies, kot

nym i zmiennym. Im był starszy, tym pływał na coraz krótszych dystansach. Uczestniczył w dwóch Igrzyskach Paraolimpijskich (Pekin 2008, Londyn 2012). - Miałem szansę na trzecią paraolimpiadę, ale z upływem czasu uświadamiałem sobie, że światowa czołówka coraz bardziej mi odskakuje i w 2014 roku, gdy z mistrzostw Europy w Eindhoven wróciłem bez medalu, podjąłem męską decyzję - trzeba powiesić strój pływacki na kołek i zabrać się za dorosłe życie, bo wiedziałem, że sport nie da mi pieniędzy na utrzymanie - tłumaczy.

Z akademika na basen

Po zakończeniu pływackiej kariery, nie wchodził do basenu przez 3-4 lata. - Trochę się

na niego obraziłem. Miałem wodowstręt. Pływanie w ogóle mnie nie kręciło. Ale potem miałem problemy zdrowotne i w ramach rehabilitacji musiałem chodzić na basen. Nie lubię korzystać z niego w godzinach komercyjnych, gdy jest kilka osób na torze. Gdy jako osoba niewidoma wpadam na inną, jest trochę niebezpiecznie. Lubię wybrać się na basen i popływać sam - wyznaje.

Będąc sportowcem, dbał jednocześnie o wykształcenie, choć nie było to łatwe, bo przez pierwsze trzy lata studiów trenował 11 razy w tygodniu. Włączeniu pływania na wysokim poziomie z nauką pomagała mu bliskość akademika z basenem, życzliwość uczelni i AZS AGH. - To właśnie sport na-

uczył mnie samodyscypliny, odpowiedzialności i tego, że nigdy nie można się poddawać - podkreśla.

Na AGH ukończył studia I stopnia na kierunku zarządzanie i studia magisterskie o specjalności marketing oraz studia podyplomowe zarządzanie personelem, na UJ studia podyplomowe menedżer sportu.

Pracuje na AGH w Centrum Rozwiązań Informatycznych jako asystent ds. technologii tyfloinformatycznych, czyli wspomagających. - Jestem ekspertem do spraw dostępności cyfrowej i jednocześnie prowadzę zajęcia z nowoczesnych technologii, czyli przekazuję studentom, co osoby niepełnosprawne mogą wykorzystywać w codziennej pracy - wyjaśnia.

Nie ukrywa, że musi być bardzo dobrze przygotowany do zajęć: - Bo często studenci zaginają mnie swą wiedzą. Trzeba stawiać na wysokości zadania, by przede wszystkim zainteresować ich tym, co chcę im przekazać. Myślę, że odbierają mnie pozytywnie. Nie nudzą się, bo nie prowadzę monotonnego, półtoragodzinnego wykładu, tylko staram się ich uaktywnić, rozmawiać z nimi, proponować im zadania.

Gdy brakuje adrenaliny...

Sport pozostał ważną częścią w jego życiu. Razem z przyjaciółmi prowadzi fundację Nie Widząc Przyszłości, która zajmuje się aktywizacją osób niepełnosprawnych, a jej sztandaremowym projektem jest sekcja niewidomych piłkarzy - Wisła blind football.

Futbolem interesował się od dziecka. Ganiał za piłką na podwórku, trenował w ogródku pod kamienicą. Grał na obronie, a że nie widział, faulował kolegów także z własnej drużyny. Chodził na mecze Wisły i Cracovii, podczas szkolnego spotkania z piłkarzami dostał koszulkę od Łukasza Surmy, co przypomniał mu po prawie 20 latach, gdy przez telefon prowadził z nim radiowy wywiad.

Po raz pierwszy mecz blind footballu zobaczył podczas Igrzysk Paraolimpijskich w 2008 roku. To wtedy zakiełkowała w nim myśl o stworzeniu drużyny niewidomych. Marzenia zaczął przekuć w czyn, choć nie od razu krakowski zespół zbudowano... Początkowo grał z kolegami tylko dla przyjemności, raz lub dwa razy w miesiącu.

- Nie mogłem się w to bardziej angażować, bo blind football jest kontuzjogenną dyscypliną, a ja wtedy byłem jeszcze pływakiem. Zakończyłem karierę, ale po pół roku zaczęło mi brakować adrenaliny. Dopiero wtedy zaczęliśmy się regularnie spotykać na treningach blind footballu, dwa-trzy razy w tygodniu - opowiada.

W tym celu sprzęt pomógł Międzynarodowy Komitet Olimpijski (przysłał 10 profesjonalnych piłek), Roman Kołtoń z Polsatu Sport (dzięki któremu pozyskano środki na bandy wokół boiska), miasto, lokalni dziennikarze, prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Zbigniew Boniek (zorganizowano mecz radnych i przedstawicieli PZPN). I tak powstała drużyna Tyniecka Nie Widząc Przyszłości.

Jak wyglądają mecze blind footballu? Czterech niewidomych zawodników i widzący bramkarz grają na otoczonym bandami boisku o wymiarach 40 na 20 m. Używają oni piłki, w której jest grzechotka, wydająca charakterystyczny dźwięk. Graczom podpowiada bramkarz, stojący obok bocznej bandy trener i stojący

za bramką rywali przewodnik. Mecze trwają dwa razy po 25 minut. Osobom słabowidzącym zakłada się specjalne gogle i opatrunki okulistyczne.

Marcin i jego koledzy od 2016 roku uczestniczyli w rozgrywkach Ligi Centralnej Europy z udziałem drużyn z Polski, Czech, Węgier i Austrii, zajmując dwa razy drugie miejsce (2018 i 2019). Mają na koncie też dwa Puchary Polski (2017 i 2021). Występowali w reprezentacji (w 2021 roku zajęła trzecie miejsce w ME dywizji B w Bukareszcie).

Z dala od białej laski

Pandemia koronawirusa mocno utrudnia życie także niewidomym, a tych w Polsce - takie szacunki podaje Marcin - jest ponad 300 tysięcy, a osób z problemami narządu wzroku około 2 mln.

- Na początku pandemii ludzie bali się zbliżyć do nas, chcieli zachowywać bezpieczny dystans. Moja fundacja robiła projekty uświadamiające, by jednak zachęcać ich do udzielania nam pomocy. Prowadziliśmy kampanię „Mały gest, wielkie wsparcie”, w Telewizji Kraków robiliśmy programy pokazujące, jak można pomagać osobom niepełnosprawnym w codziennym życiu. Teraz pod tym względem jest dużo lepiej, wszyscy oswoili się z tą sytuacją - mówi Ryszka.

Niewidomym i innym poszkodowanym przez los żyje się w Krakowie fajnie. Problem jest w małych miejscowościach

Ma też dobre zdanie na temat ułatwień dla osób niepełnosprawnych, przynajmniej w Krakowie: - Jako miasto nie mamy się czego wstydzić, jeśli chodzi o dostosowanie środków komunikacji miejskiej i obiektów dla potrzeb tych ludzi. Mamy instytucje tym się zajmujące. Myślę, że niewidomym i innym poszkodowanym przez los żyje się w Krakowie fajnie. Problem jest w małych miejscowościach, gdzie człowiek z białą laską postrzegany jest jako ktoś inny, zwracający uwagę. A w Krakowie spotkanie osoby na wózku inwalidzkim czy niewidomej to codzienność.

Z mikrofonem w rękę

Marcin przez lata był obiektem zainteresowań mediów, teraz sam sprawdza się w roli dziennikarza. W 2016 roku Przemysław Babiarz z TVP zaproponował mu rolę drugiego komentatora podczas zawodów pływackich na Igrzyskach Paraolimpijskich w Rio de Janeiro. To było spełnienie jego ma-



FOT. BARTEK ŻÓŁKOWSKI / WISŁA KRAKÓW.PL

Sport jest ważną częścią jego życia; opowiada o nim na antenie radia, komentuje zawody, przeprowadza wywiady

rzeń, bo jako dzieciak snił o zostaniu Dariuszem Szpakowskim, Mateuszem Borkiem czy właśnie Babiarzem, czyli tytanami telewizyjnych relacji ze sportowych wydarzeń.

W Brazylii przybliżał sylwetki pływaków, opowiadał o nich anegdoty, analizował ich występy, znakomicie współpracując z Babiarzem. Wyniki oglądalności zawodów i podziękowania za jego komentarze sprawiły mu dużo radości. W 2021 roku w tej samej roli wystąpił podczas Paraolimpiady w Tokio. Gdy sam startował w takich imprezach, nasza telewizja nie relacjonowała zawodów. Tym większą miał satysfakcję, gdy okazało się, że kilkadziesiąt minut po jego przemowie na konferencji „Pokażcie nas w Rio” przedstawiciele TVP zadeklarowali, że pokaże ona na żywo zmagania paraolimpijczyków.

W 2021 roku komentował - w TVP Sport - mecze piłkarskie Polski z Anglią i Węgrami o awans na MŚ 2022 w Katarze.

- Jako osoba niewidoma nie mogłem opowiadać, że Lewandowski podał do Krychowiaka albo że Glik faulował lub nie. Miałem tylko uatrakcyjnić obraz. Pierwszy komentator opowiadał, co się dzieje na boisku, a ja wzbogacałem jego relację informacjami na przykład, że Glik ma dobrą passę w klubie, a Klich grzeje ławę. Moje komentarze kierowane były do tych kibiców, którzy oprócz tego, że lubią oglądać mecze, chcą jeszcze poznać ich otoczkę - mówi.

O sporcie opowiada też - a raczej przede wszystkim - w radiu Wesoło.FM. Trafił do niego w marcu 2018 roku za sprawą swego znajomego

Jakuba Białka. Początkowo prowadził audycję „W ciemno”, w której przedstawiał głównie niepełnosprawnych sportowców, a której mottem było to, że bariery istnieją tylko w głowie. Przed MŚ w Rosji przeprowadził kilka wywiadów ze znanymi ludźmi ze świata futbolu, m.in. byłym prezesem PZPN Michałem Listkiewiczem, wiceprezesem PZPN Markiem Koźmińskim i reprezentantem kraju Piotrem Świerczewskim.

Jego praca na tyle się spodobała, że otrzymał propozycję zostania reporterem radiowym. Oprócz wspomnianej audycji kilka razy w miesiącu prowadzi także poranną „Dwójkę bez sternika”. Robi wywiady, dostarcza dźwięki do serwisów. I jest w swoim żywiole.

O czym śnią niewidomi?

Z Jakubem Białkiem napisał książkę „Nie widzę przeszkód”. Ma satysfakcję, że to nie on zabiegał o jej wydanie: - Nie przypuszczałem, że w wieku 31 lat taki projekt pojawi się w moim życiu. Jeszcze krótko chodzę po tym świecie, by pisać książki. Tak mi się wydawało. Gdy padła propozycja ze strony wydawnictwa (Sine Qua Non - przyp.), nie wiedziałem, co zrobić. Żona namawiała mnie na pisanie, zaznaczając, że to szansa dla niewidomych, by opowiedzieć o ich życiu. Dałem się namówić. Z Kubą wymyśliliśmy fajny pomysł na książkę. Każdy rozdział zaczyna się od pytania, na które ja odpowiadam. Na przykład, skąd wiem, że moja żona mi się podoba, o czym śnią niewidomi albo czy po alkoholu widzę podwójnie.

Nie kryje radości z pozytywnych opinii czytelników po lekturze książki: - Bardzo się cieszę z wszystkich wiadomości, które do mnie spływają. Piszę do mnie na przykład rodzice niepełnosprawnych dzieci, że po przeczytaniu książki wiedzą, iż mają one szansę na normalne życie. Piszę też ludzie, którzy potrzebują podpowiedzi, co mogą zrobić w danej sytuacji. Mam nadzieję, że ta publikacja wpłynie na jakość życia osób niepełnosprawnych.

Marcin obchodzi urodziny 15 lipca, czyli w ogłoszony przez internautów... Światowy Dzień bez Telefonu Komórkowego, ale nie wyobraża sobie życia nie tylko bez niego, ale i wszystkich innych udogodnień, które pozwalają mu wygodniej żyć. Korzysta więc z laptopa, smartfona, programów czytających z ekranu, aplikacji czytującej tekst, sprawdzającej, czy światło jest zgaszone itp. Dzięki specjalnemu programowi pisze i czyta SMS-y. Wrzuca fotki na Instagramie, jest aktywny na Facebooku i Twitterze.

- Zastanawiam się, jak niewidomi mogli funkcjonować, gdy nie mieli tych narzędzi, czytających programów, udźwiękowionych telefonów. Jak mogli studiować bez możliwości korzystania z książek, skanu z komputera? Ja to mam, pomaga mi to w komunikacji, mogę pokazywać jak żyję, co robię, wszystko jest dla mnie dostępne - zauważa.

Cieszy się też, że ma wielu przyjaciół, znajomych, którzy nie traktują go jako kalekę, z którymi się spotyka, podróżuje, bawi, chodzi na mecze, koncerty czy do klubu, jeździ po świecie. Że może żyć normalnie, na ile jest to możliwe wobec jego ograniczeń. Uwielbia książki - kryminały, thrillery i o tematyce górskiej (choć w przeciwieństwie do żony nie znosi chodźć po górach, bo co miałby podziwiać). Lubi plażę i opalanie, a także zwiedzanie, ale nie z przewodnikiem, który zamiast opowiadać o danym miejscu mówi „popatrzcie w prawo, popatrzcie w lewo”. Zachwycił go na przykład Wielki Mur Chiński („mogłem go dotknąć, poczuć, przekonać się o jego wielkość”). Jest totalnym zaprzeczeniem stereotypu, że niewidomy to osoba, która siedzi w kącie i czeka, żeby się nią zajmować.

Tournee po... rodzinie

Swą przyszłą żonę spotkał na Światowych Dniach Młodzieży, gdy przyjechała z Gdyni do Krakowa z koleżanką, z którą był na weselu brata. Gościł je przez tydzień, oprowadzał po mieście. Coś zaśkrzyło między nim a Magdą, ale bał się kolejnego zranienia. „Wrócił do tematu” w styczniu następnego roku, gdy zaprosił ją do Krakowa. Zaczęli zbliżać

się do siebie... Magda okazała się dziewczyną o gołęmbim sercu i wielkiej empatii dla innych osób.

- Na początku naszej znajomości byłem trochę przestraszony i przytłoczony tym, że Magda urządziła mi tournee po swej rodzinie. Poznałem jej całe drzewo genealogiczne, bo chciała, żeby wszyscy i mnie poznali. Jej rodzina jest bardzo otwarta i serdeczna. Kocham ją za jej ciepło i dobro, którym wszystkich dookoła zaraża. Musiała te wartości wynieść z domu. To było bardzo ważne dla mnie. Sam się zastanawiam, co będzie, gdy za 20 lat mój syn powie, że chce się związać na zawsze z osobą niepełnosprawną. W takich sytuacjach rodzice czują lęk, czy oboje sobie poradzą - mówi.

Magda jest piękną blondynką. Marcin nigdy jej nie widział, ale... wie o tym.

- Dla osób widzących często pierwszym wrażeniem przy poznaniu drugiej osoby jest jej wygląd zewnętrzny. Ja mam to szczęście, że nie muszę się tym kierować, że stykam się z nią na stopie intelektualnej, poznaję jej charakter, zainteresowania, a dopiero potem jej fizyczność. Mogę dotknąć jej włosów, skórę, poznać, jak dba o siebie. A sytuacja, gdy gdzieś wyjdę z Magdą lub sobie zrobię z nią zdjęcie, a ktoś mi mówi czy piszę, że mam ładną żonę, łechcąc moje ego jako mężczyznę. Jestem z tego dumny, choć z Magdą żartujemy, że trafiło się ślepej kurze ziarno - opowiada.

Mocny cios po narodzinach

Magda jest z wykształcenia technologiem żywności, teraz nie pracuje, korzysta z urlopu wychowawczego. Mieszkają w Krakowie, ślub wzięli w 2018 roku, Michał urodził się we wrześniu 2020 roku.

- Zanim zaczęliśmy się starać o dziecko, sprawdzaliśmy czy nowotwór oka, który miałem, jest dziedziczny. Przeszedłem różne testy genetyczne, które pokazały, że nie powinienem przekazać synowi mojego genu. Po narodzinach Michała uparliśmy się jednak, aby wykonać badania dna jego oczu i, niestety, okazało się, że ma guzy w obu oczach. To był dla nas mocny cios. Po uruchomieniu wszystkich znajomości, które miałem, trafiliśmy do Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, gdzie jest najlepszy w Polsce ośrodek, który leczy tego typu nowotwory. Michał dziś widzi normalnie, ale będzie miał uszczerbek narządu wzroku. Dopiero z biegiem czasu okaże się, jak duży. Co miesiąc musimy jeździć z nim do stolicy na kontrolę. Na szczęście Michał jest pogodnym dzieckiem, nie choruje, rozwija się prawidłowo. A to jest dla nas najważniejsze - mówi Marcin Ryszka.

©©

Bogdan Nowak
b.nowak@kurierlubelski.pl**Hrubieszów**

Po hrubieszowskiej gminie żydowskiej pozostało niewiele. Jednak stare dokumenty świadczą o tym, że była to niezwykle barwna, ciekawa społeczność. W XVIII i XIX-wiecznym Hrubieszowie Żydzi nadal nosili tradycyjne stroje, żyli według „pradawnych” obyczajów i niechętnie uczyli się języka polskiego. Członkom wspólnoty zakazywano czytać obcą literaturę, a oficjalną naukę traktowano z ogromną podejrzliwością. A jednak to właśnie w takiej atmosferze wyrosli utalentowani wynalazcy: Abraham Stern i Henry Orenstein.

Machina ta ma kształt skrzyneczki, czyli równoległoscianu. Znajdują się w niej na wierzchu trzy rzędy z ceferblatami złożone” – czytamy w napisanej w 1813 roku recenzji pierwszej „machiny liczącej” Abrahama Sterna. „Każdy cyferblat podzielony jest na dziesięć części (...). Dwa rzędy takich ceferblatów stanowią zagadnienie, a trzeci – wypadek wskazuje. Średni rząd cyferblatów, na którym najwięcej zależy i przy którym korbą do obracania jest umieszczona, w półokręgu tylko ma jedności umieszczone, pod którymi sztyfty ruchome, na dół i do góry iść mogące, danemi są. Te sztyfty początkiem są całej sztuki, albowiem tyle onych wypadnie na dół, jaką cyfrę pod okienko podsunie się”.

W jakich okolicznościach powstała taka skomplikowana, trochę dziwaczna maszyna?

Ubogi pomocnik zegarmistrza
Hrubieszów nie wyróżniał się kiedyś wśród innych miast naszego regionu. Jego mieszkańcy żyli zwykle w niskich, niewielkich kamieniczkach, stłoczonych blisko siebie. Prowadziły do nich wąskie, błotniste uliczki. Jak zauważyła Joanna Olczak-Ronikier, autorka biografii Janusza Korczaka, było tam „mnóstwo maleńkich sklepików, dwa rynki: stary i nowy. Pośrodku rynków stragany. Okoliczni chłopcy zwozili tu nabiał, mięso, warzywa. Tu zaopatrywali się w odzież, buty, przedmioty domowego i gospodarczego użytku i towary łokciowe, czyli tkaniny (...). Kościół katolicki, cerkiew, synagoga od setek lat należały do miejscowego krajoznawcy”.

W 1772 r., w wyniku rozbiorowego podziału dawnej Rzeczypospolitej Hrubieszów (ta nazwa Hrubieszowa obowiązywała w oficjalnych dokumentach do 1789 r.) znalazł się



Henry Orenstein opatentował sto różnych pomysłów, w tym popularną zabawkę - Transformersa, przywódcę Autobotów. Był też pokerzystą, napisał dwie książki

Stern to maszyny liczące. Orenstein wymyślił Transformersów. Wynalazcy z Hrubieszowa

w granicach państwa Habsburgów. Zaczęto wówczas wprowadzać nowe porządki, także w „kwestii żydowskiej”. Rodziny, które chciały pozostać przy dawnej wierze, musiały wnieść tzw. opłatę tolerancyjną – po 4 guldenty od każdej. Tych, którzy nie chcieli tego zrobić, wyrzucano za granicę. Władze zmuszały Żydów także do służby wojskowej. Musieli pozbyć się tradycyjnych ubiorów i ogolić brody, co np. uniemożliwiało im święcenie szabatu (była to dla nich prawdziwa tragedia). Zgodę na żydowskie małżeństwa wydawali austriaccy urzędnicy, co miało – jak tłumaczono – ograniczyć przyrost ludności „starozakonnej”.

Wprowadzono też inne zarządzenia. Niektórzy Żydzi, zamiast imion i przydomków, musieli przyjąć brzmiące po niemiecku nazwiska. Wybierano je według fantazji austriackich urzędników. To wtedy w mieście pojawiły się nazwiska: Kleinman („mały człowiek”), Kaufmann („kupiec”), Stern („gwiazda”) czy tak jak w pochodzącej z Hrubie-

szowa rodzinie Janusza Korczaka - Goldszmidt (miało ono zapewne jakiś związek ze złotem), które potem zmieniono na Goldszmit.

Żydzi mieszkali wówczas głównie w okolicach ulic Wodnej, Ludnej i Jatkowej. Tę część miasta uważano niegdyś za dzielnicę żydowską. Prawdopodobnie w jednym z okolicznych domów mieszkał Abraham Jakub Stern (lub według innej pisowni Sztern). Urodził się w latach 60. XVIII w. (według różnych źródeł przyszedł na świat pomiędzy 1762 i 1769 rokiem; jednak warszawski „Tygodnik Ilustrowany” z 25 czerwca 1864 r. podaje, iż stało się to w 1769 r.). Wiadomo jedynie, że jego rodzina była uboga. Chłopiec interesował się mechaniką i przejawiał w tym kierunku niezwykle zdolności. Być może dlatego został przyjęty na naukę do hrubieszowskiego zegarmistrza.

Czy nazwisko jego rodziny także zostało nadane przez Austriaków? - Nigdzie w źródłach nie zetknąłem się z taką informacją – zapewnia Bartłomiej Bardecki, dyrektor Muzeum im.

ks. Stanisława Staszica w Hrubieszowie. - Także do daty narodzin Abrahama Sterna oraz wielu innych osób urodzonych w tamtych czasach należy podchodzić z wielką ostrożnością. Zwłaszcza jeśli dotyczy to obywateli pochodzenia żydowskiego. Takie informacje np. często podawali do odpowiednich urzędów z opóźnieniem.

Można się także domyśleć, że - w wyniku różnych, niesprzyjających okoliczności - starali się w ogóle takiego obowiazku unikać.

Ks. Stanisław Staszic wysłał młodego Abrahama Sterna na naukę do Warszawy

W zakładzie szacownego, hrubieszowskiego zegarmistrza mały Abraham mógł wreszcie rozwijać swoje zdolności. Jego pierwszym wynalazkiem było podobno urządzenie celownicze - rodzaj dalmierza dla inżynierów i artylerzystów. W 1810 roku Stern zaczął konstruować także maszyny liczące, które potrafiły wykonywać podstawowe działania arytmetyczne oraz wyciągać pierwiastki kwadratowe.

- Nie wiadomo jednak czy pierwsze pomysły wynalazcy powstały jeszcze w Hrubieszowie. Być może były to wówczas jedynie ich załączki - zastanawia się dyrektor Bartłomiej Bardecki. - Na pewno jednak talent Abrahama Sterna rozwinął się po wyjeździe z Hrubieszowa. Mogło się to stać dzięki udzielonemu mu wsparciu.

Niezwykłe zdolności Abrahama Sterna zainteresowały ks. Stanisława Staszica, działacza oświeceniowego, pioniera spółdzielczości oraz publicystę, filozofa i wolnomularza. Była to w tym czasie bardzo ważna postać także z innych względów. W 1816 roku ks. Stanisław Staszic założył w swoich dobrach fundację o nazwie Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie. Obejmowała ona dziewięć wsi, jedną osadę i część Hrubieszowa. Propagowano tam postęp kultury rolniczej, a chłopów zwolniono od pańszczyzny. Ponadto część ziemi włościanie otrzymali na własność.

W rękach TRH pozostały jednak dwa stawy, trzy młyny, lasy, tartak, cegielnia, kuźnia, browar, wytwórnia wódek,

karczmy w siedmiu wsiach i m.in. część pól uprawnych. Dochody z nich przeznaczono głównie na utrzymanie szkół, szpitali oraz na opiekę nad starcami i sierotami. Te wszystkie rozwiązania były wówczas nowatorskie nie tylko w Polsce, ale także w całej Europie. Jak pisał Stanisław Staszic, wdrożono je „wzorem sprawiedliwego urządzenia włościan dla ratowania się wspólnego w nieszczęściach”. Siedziba (zwano ją „stolicą”) prezesa oraz Rady Gospodarczej TRH znajdowała się w Dziekanowie.

Ks. Stanisław Staszic miał otwarty umysł i zauważał talenty innych ludzi. Dlatego docenił także umiejętności młodego Sterna i wysłał go na naukę do Warszawy. To przyniosło efekty. Po pewnym czasie Abraham Stern stworzył projekty: żniwiarki, wózka topograficznego (był ciągnięty przez konie: dzięki niemu można było odwzorowywać ukształtowanie terenu), młockarni i piły tartacznej. Wymyślił też m.in. mechanizm zabezpieczający powozy przed rozbieganiem się koni. Jego talent roz-



FOT. ARCHIWUM

Abraham Stern konstruował pierwsze na ziemiach polskich maszyny liczące. Jego prawnukiem był poeta Antoni Słonimski

kwitł także w innych dziedzinach.

„Stern interesował się nie tylko techniką, ale również pisał wiersze i uchodził za znawcę literatury hebrajskiej” – czytamy w artykule Izabeli Bondeckiej-Krzykowskiej – „Pierwsze maszyny liczące na ziemiach polski”. „W latach 1826-1835 był rektorem Warszawskiej Szkoły Rabinów”.

Jego największym osiągnięciem były jednak „machiny rachunkowe”, które znacznie odbiegały od wcześniejszych tego typu rozwiązań.

Stary parasol i wielkie uznanie

Pierwszą maszynę służącą do obliczeń mechanicznych stworzył w 1623 r. Wilhelm Schickard, niemiecki wynalazca, ale sławę zdobyła dopiero zaprojektowana w 1645 r. „Pascalina” – maszyna do mechanicznego dodawania i ode-

mowania zbudowana przez Blaise’a Pascala. Urządzenie, które potrafiło także mnożyć i dzielić stworzył w 1770 r. Gevni Jacobson, zegarmistrz i mechanik z Nieświeża na Litwie.

Stern jednak nie nawiązywał do tych wynalazków, a niektórzy nawet uważają, iż w ogóle ich nie znał. Pierwszą maszynę rachunkową swojego projektu przedstawił do oceny Warszawskiemu Królewskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk w 1812 r. Jej recenzję wydano w styczniu 1813 r. Dzięki niej wiemy jak wyglądała pierwsza „machina rachunkowa” skonstruowana przez Sterna. Uznano jednak, że jest ona zbyt skomplikowana, trudna w użyciu. Recenzenci zalecili jej uproszczenie.

Stern pracował nad tym cztery lata. W styczniu 1817 r. zaprezentował kolejną, ulepszoną maszynę (potrafiła także m.in.

wyciągać pierwiastki), a w kwietniu – następną. Ta ostatnia potrafiła już płynnie wykonywać pięć działań arytmetycznych. Uznano, że była to pierwsza maszyna o takich możliwościach na świecie. Wynalazca zdobył wówczas uznanie. „Przez swą maszynę arytmetyczną (...) zwrócił oczy całego narodu na siebie” – pisał w czerwcu 1864 r. „Tygodnik Ilustrowany”.

Maszyny wynalezione przez Sterna były podobno bardzo precyzyjne i mimo wszystkich ulepszeń – dość skomplikowane. Być może dlatego nie weszły nigdy do produkcji. Jednak nie wszystkie jego wynalazki zostały zapomniane. „W 1844 r. znany szwedzki producent arytmetrów Wilgodt T. Odhner zapoznał się z pomysłami Sterna i wykorzystał je później w swoich konstrukcjach” – zauważyła Izabela Bondecka-Krzykowska.

Postać wynalazcy została opisana w kilku pamiętnikach z tamtych czasów. Wynika z nich, iż Abraham Stern ubierał się w Warszawie jak większość ówczesnych Żydów, którzy nie poddali się asymilacji. Pamiętnikarz Eugeniusz Skrodzki zanotował, iż nosił zwykłe czarne, atlasowy żupan, jedwabny pas oraz czarne pończochy i trzewiki. Franciszek Morawski także zapamiętał jego „szatę izraelską” oraz czarno-rudawą brodę. Z przekazów wynika, iż ów uzdolniony, żydowski wynalazca zawsze nosił ze sobą stary, podarty parasol, nawet podczas „najpiękniejszej pogody”.

Stern zmarł 3 lutego 1842 r. Został pochowany na cmentarzu żydowskim na warszawskim Bródnie. Wiadomo, że jego syn Izaak był nauczycielem w Warszawskiej Szkole Rabinów, a jego prawnuk Antoni Słonimski zasłynął jako znakomity poeta.

Abraham Stern nie był jedynym utalentowanym wynalazcą związanym z Hrubieszowem.

Henryk Orenstein to także niezwykła postać

Jeszcze na początku XIX wieku w tym malowniczym mieście „zaistniało silne środowisko chasydzkie” (cytat za portalem „Wirtualny Sztetl”), które stopniowo zmieniało obyczaje części Żydów. W 1818 r. osiedlił się w Hrubieszowie Josef ben Mordechaj Kacenelenbogen. Był jednym z przywódców ruchu chasydzkiego. To podobno dzięki jego inicjatywie powstał w mieście szpital, apteka oraz przytułek dla umysłowo chorych.

W Hrubieszowie działały także dwory i sztibele cadyków

(chodzą o budynki lub izby będące małymi domami modlitewnymi chasydów) – czyli chasydzkich przywódców religijnych: z Kocka, Góry Kalwarii i Bełza. Spotykano się tam, modlono i słuchano żydowskich mądrości.

W ten sposób Hrubieszów stał się wówczas jednym z najważniejszych ośrodków chasydzkich i ogólnie – żydowskich w kraju. W latach 1816-1823 działała tam np. hebrajska drukarnia. W połowie XIX w. postawiono na hrubieszowskim rynku słynne sukiennice zwane „sutkami”. Miasto zaczęło się zatem rozwijać także pod względem handlowym.

Od 1844 r. działał w Hrubieszowie żydowski szpital, a w 1874 wybudowano drugą, murowaną synagogę (pierwsza powstała w 1715 r.). Pod koniec XIX w. Żydzi stanowili w Hrubieszowie blisko 60 proc. mieszkańców. Natomiast według spisu z 1921 r. w tym mieście żyło dokładnie 9598 obywateli, z czego 5697 deklaroowało pochodzenie żydowskie, 481 – ukraińskie, a resztę stanowili Polacy.

W wielokulturowej, barwnej atmosferze mieszkańcy miasta żyli przez dziesiątki lat. W niej wyrósł także Henryk Orenstein (potem znany jako Henry Orenstein). To także niezwykła postać. Urodził się 13 września 1923 roku w Hrubieszowie, jako syn

Maszyny wynalezione przez Sterna były precyzyjne, ale dość skomplikowane. Być może dlatego nie weszły nigdy do produkcji

Lejba i Goldy Orensteinów. Jego rodzina była dość liczna, miał trzech starszych braci (Niuńka, urodzonego w 1909 r.), Feliksa (ur. w 1910 r.) i Shlomo (Sam, Shlojme, ur. w 1911 r.) oraz młodszą siostrę Hanię (ur. w 1926 r.). Orensteinowie mieszkali w kamienicy, która stoi przy dzisiejszym Placu Wolności w Hrubieszowie.

Ich spokojnie życie brutalnie zmieniła II wojna światowa. W dniach 2-10 czerwca 1942 r. większość z ponad dziesięciu tysięcy miejscowych Żydów niemieccy okupanci wywieźli do obozu zagłady w Sobiborze. Byli to głównie mieszkańcy miejscowego tzw. dużego getta. Natomiast na hrubieszowskim kirkucie rozstrzelano wówczas pół tysiąca Żydów. W mieście nadal funkcjonowało jednak tzw. drugie getto (przy ul. Jatkowej). Przebywali tam głównie miejscowi rzemieślnicy żydowskiego pochodzenia.

Koniec żydowskiej gminy w Hrubieszowie

7 września 1943 r. blisko dwa tysiące z nich wywieziono do

obozu pracy w Kraśniku-Budzinu. Tę datę można uznać za koniec żydowskiej gminy w Hrubieszowie. Niemcy zburzyli wówczas obie synagogi, zniszczyli sześć domów modlitwy oraz zdewastowali kirkut. Tylko nielicznym udało się prześladowania przetrwać. Wśród nich był Henry Orenstein. Wiadomo, że podczas II wojny światowej przebywał aż w pięciu obozach koncentracyjnych (Budzyń, Majdanek, Płaszów, Ravensbrück, Sachsenhausen). Po klęsce Niemców udało mu się wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Zabrał także dwóch swoich braci.

Henry zajął się w USA projektowaniem zabawek, które okazały się wielkim sukcesem, na skalę międzynarodową. Opatentował sto różnych pomysłów. Jednym z nich była popularna zabawka Optimusa Prime’a – Transformersa, przywódcy Autobotów. Owa fikcyjna postać stała się także inspiracją dla filmowców. Wyprodukowano całą serię filmów akcji, w których Autoboty są głównymi bohaterami. Zdoływały one olbrzymią popularność. Także zabawki zaprojektowane przez Orensteina nadal cieszą się ogromnym zainteresowaniem wśród dzieci.

Inne osiągnięcia wynalazcy także zasługują na uwagę. Orenstein należał do najbardziej znanych, światowych pokerzystów. Wynalazł technikę, która pokazywała w telewizyjnych transmisjach niewidoczne dla graczy karty. Nazwał ją „hole camera”. Co ciekawe, w wieku 71 lat udało mu się wygrać turniej World Series of Poker, a w 2005 roku zajął siódme miejsce w Pokerowych Mistrzostwach w USA. Henry napisał także m.in. dwie książki. W jednej z nich wspomina m.in. swoje rodzinne miasto.

Razem z drugą żoną Susie prowadzili działalność charytatywną. Sławę przyniosło im wsparcie pieniężne dla organizacji żydowskich w USA i Izraelu. Pomogli także sfinansować budowę „Ścian pamięci” na hrubieszowskim kirkucie. Henry Orenstein zmarł w New Jersey 14 grudnia 2021 r. Miał 98 lat.

Stanisław Jadczak w książce „Hrubieszów i powiat hrubieszowski 1400-2000” podsumował także inne „ślady 500-letniej historii” żydowskiej społeczności w tym mieście. Nie ma ich wiele. To dawny cmentarz żydowski przy ul. Kruczej (wcześniej Kirkutowej), budynek przedwojennej, żeńskiej szkoły powszechnej (ul. Partyzantów), dawny szpital chorób sekretnych (ul. Czerwonego Krzyża), budynek sławnego kiedyś szpitala żydowskiego (ul. Partyzantów) oraz dawny hotel „Krakowski” (ul. Piłsudskiego).

To jedynie mury i groby. Dawni, żydowscy mieszkańcy miasta odeszli. ©©

Współpraca Monika Miącz

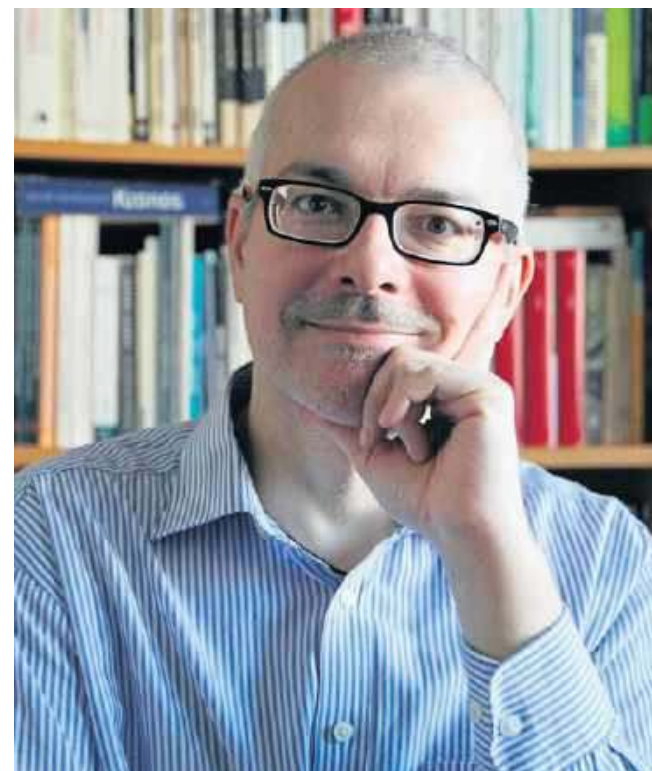


FOT. BOGDAN NOWAK

Sklepiki w centrum Hrubieszowa do dziś zachowały przedwojenną atmosferę

Łukasz Garbał: Wedlom nie chodziło tylko o zarobek. Potrafili się dzielić i pomagać innym

Historia Wedlów pokazuje tradycyjną wielokulturową polskość i patriotyzm polegający na wyjściu poza egoizm, na dobroczynności, na dzieleniu się swoim majątkiem, na współpracy dla wspólnego dobra. Dla mnie więc nie kojarzą się tylko ze słodyczami, ale są wzorem patriotyzmu – mówi Łukasz Garbał, autor książki „Wedlowie. Czekoladowe imperium”



Łukasz Garbał: Starałem się uczciwie pokazać całość historii, łącznie z pytaniami, na które nie znalazłem odpowiedzi – są tu bowiem zagadki

Anita Czupryn
a.czupryn@polskatimes.pl

Rozmowa

Czy za decyzją o napisaniu książki „Wedlowie. Czekoladowe imperium” nie stoi Pana osobista historia? Może mieszkał Pan blisko fabryki Wedla i uwodził Pana zapach czekolady?

Lubię czekoladę, oczywiście; nie będę tego ukrywał. Ale sam pomysł narodził się podczas zwiedzania fabryki Wedla, kiedy pod wpływem opowieści przewodnika zorientowałem się, że Wedel to nie tylko czekolada. A raczej, że za tą czekoladą kryje się bardzo dużo ciekawych pytań. Żona zasugerowała, żebym o tym napisał. Nie było takiej książki, która zebrałaby odpowiedzi na te pytania. A ponieważ bardzo lubię historię, zacząłem szukać – efektem jest biografia rodziny Wedlów.

Jak było z dostępem do tych historycznych dokumentów?

Wydawało mi się na początku, że będzie problem z materiałami, m.in. wskutek wojny zachowało się bardzo niewiele dokumentów osobistych, ale jednak udało mi się znaleźć bardzo wiele źródeł innego rodzaju. Przede wszystkim bardzo wiele informacji jest w prasie z XIX i początku XX wieku. Były to na przykład konkretne zapisy ofiar Wedlów na cele dobroczynne, ale także adresy i godziny otwarcia sklepów czy nawet wiadomość o tym, że któryś z właścicieli firmy wyjeżdża do Paryża! Dużo dowie-

działem się z rozbudowanych reklam prezentujących ofertę – widzimy nie tylko, jakie kiedyś były produkty, ale także fakty, które trzeba pokazać w historycznym kontekście, jak podawanie ceny w złotym, wtedy, gdy ta waluta nie była już wybijana. Wykonałem też duże kwerendy w archiwach państwowych i archiwum fabrycznym, a od spadkobierców uzyskałem dostęp do archiwów domowych.

Jaka jest prawda o pochodzeniu Wedlów? Wywodził się z Meklemburgii, bliżej im było do Szczecina niż Berlina. Ale ojciec Carla Wedla, założyciel pierwszej cukierni w Warszawie, urodził się w Polsce?

Starałem się uczciwie pokazać całość historii, łącznie z pytaniami, na które nie znalazłem odpowiedzi – są tu bowiem zagadki. Niewątpliwie Wedlowie są pochodzenia niemieckiego. A fakt, że jeden z Wedlów według jednego źródła urodził się na ziemiach Rzeczypospolitej – to zagadka. Takich zagadek nie można upychać pod dywan; ważne fakty trzeba zawsze pokazywać, nawet, kiedy się ich nie rozumie. Pokazywałem, że te zagadki istnieją – ale pewne jest, że zarówno Carl, jak i jego ojciec pochodzili z podzielnego wówczas Niemiec. Wedlowie w szerszym rozumieniu to ród pomorski – były linie niemiecka, norweska, duńska. Byli też od średniowiecza Wedlowie brandenburscy, którzy zostali poddani władcy Rzeczypospolitej i stopniowo się spolonizowali, ich zamek w Tucznie zachował się do dzisiaj, ale linia ta w XIX wieku wymarła, nie byli bezpośrednio spokrewnieni

z „naszymi” Wedlami. Kłopoty w ustaleniach genealogicznych są także wynikiem wojny. Ponieważ spłonęły archiwa zboru luterańskiego w Warszawie, nie mogłem dotrzeć do metryki Emila Wedla.

Emil miał 4 lata, gdy przyjechał z ojcem Carlem do Polski.

Owszem, ale w zborze byłby akt jego ślubu, z którego można by się dużo dowiedzieć, tak jak wiele dowiedziałem się z aktu ślubu Carla Wedla. Jestem bardzo wdzięczny genealogom, którzy pokazali różne zagrożenia; bardzo łatwo możemy uznać coś za fakt, a bywa to tylko naszą błędną interpretacją. Weźmy chociażby historie z żonami Carla, które przedstawiłem; nie ukrywałem wątpliwości, ale odpowiedzialnością badacza jest wskazanie najbardziej prawdopodobnej hipotezy. Kiedy tylko to było możliwe, informacje potwierdzałem w kilku źródłach. Najważniejsze jest ustalenie bezspornych faktów. Takim faktem jest to, że Wedlowie przybyli na ziemię polską jako Niemcy – najprawdopodobniej jako migranci ekonomiczni (co już jest, jak zaznaczam, hipotezą, ale najbardziej prawdopodobną).

Dynastię otwiera więc Carl Wedel. Dlaczego wybrał Warszawę, która wówczas liczyła sto kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców i właściwie była prowincją?

To może nas dziwić, bo na Niemcy patrzymy z dzisiejszej perspektywy – ale wówczas Warszawa mogła być bardziej atrakcyjna niż Berlin. I to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, co prawda Kongresówka była poddana represjom poli-

tycznym po przegranej powstaniu listopadowym, ale jednocześnie rząd rosyjski prowadził politykę pobudzania wzrostu ekonomicznego, co mogło zapowiadać gospodarczy boom. Tymczasem w mocno podzielonych wtedy na różne państwa Niemczech widać było z kolei zapowiedź kryzysu, który kilka lat później przybierze postać tych zjawisk, które w szkole określa się jako Wiosnę Ludów. Kongresówka zapraszała migrantów ekonomicznych, którzy budowali wzrost gospodarczy – np. w Warszawie było wielu cukierników pochodzenia niemieckiego czy szwajcarskiego; zresztą niemal wszyscy warszawscy cukiernicy pochodzili właśnie z zagranicy. Carl przybył do Warszawy z czteroletnim synem Emilem i dwójką współtowarzyszy Niemców (Pulsem i Gerlachem), którzy także nad Wisłę jechali jako migranci ekonomiczni, żeby w przyszłości założyć firmę. Wedel przyjeżdża prawdopodobnie do swojego rodaka Grohnerta, w którego zakładzie cukierniczym pracuje przez kilka lat. Dopiero kiedy dobrze poznał warunki, założył własną firmę. Z rodziny migrantów ekonomicznych pochodziła także żona Wedla, Karolina z Wisnowskich (przybyli oni do Gziera, a później Warszawy, z niemieckiego wówczas Schwiebus, czyli dzisiejszego Świebodzina).

I tak pięknie zaczyna Pan opowieść o Wedlach – od ogłoszenia w gazecie, w 1851 roku, kiedy Carl Wedel debiutuje z własną cukiernią. Gdzie ją otwiera i co oferuje?

Cukiernia zostaje otwarta w centrum ówczesnej Warsza-

wy, którym była ulica Miodowa. Ta nazwa nie była zresztą przypadkowa, bo była to ulica, na której niegdyś osiedlali się piernikarze z Torunia, pełna wówczas cukierni. Nawiasem mówiąc, wówczas, przy tych stu kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców w Warszawie, w przeliczeniu na mieszkańców było więcej cukierników niż dzisiaj – co jest tym bardziej zadziwiające, że słodycze były wówczas znacznie droższe niż dzisiaj; to był towar bardzo luksusowy. W książce staram się rekonstruować ceny, bo były one szokujące; samych pracowników Wedla nie było wówczas na nie stać. Ten kontekst społeczny jest bardzo ważny w historii, byśmy nie patrzyli na nią przez pryzmat najbogatszych, bo mamy wtedy niepełny, a więc zafałszowany obraz. Dysproporcje majątkowe były bardzo duże, a cukier nie przyciągał właśnie tych najbogatszych – to się zmieniło później wraz ze spadkiem ceny słodczy. Cukiernia Wedla mieściła się naprzeciwko siedziby rządu gubernialnego warszawskiego. Dzisiaj mieści się tu Ministerstwo Zdrowia. Wokół było wiele innych cukierni, w tym sławna cukiernia Lourse'a. Przypuszczalnie to o cukierni Lourse'a bądź cukierni Wedla pisał później Prus w „Lalce”, w scenie, w której Izabela Łęcka piła czekoladę, widząc biedne dzieci, które z zewnątrz przyklejały noski do szyby, bo same nie miały na takie słodczych pieniędzy.

Do cukierni Wedla chodził też chyba powieściowy Ignacy Rzecki?

Prus pisał o Łękiej czy Rzeckim pijącym czekoladę, bo sam chodził do Wedla, i te

fakty wydają mi się ciekawsze od fikcji – np. to, że dokładnie w tym miejscu, w którym Prus umieścił fikcyjne mieszkanie Rzeckiego (tu, gdzie dziś mieści się Główna Księgarnia Naukowa imienia Bolesława Prusa) w 1851 r. mieszkał rzeczywisty Carl Wedel, który zanim jeszcze uruchomił cukiernię przez kilka miesięcy... sprzedawał tam piwo w ogródku, w którym występował sławny „uczony pies” Fido grający w domino... Te autentyczne historie, do których dotarłem, pokazują zarówno fakty, jak i klimat ówczesnej Warszawy.

Natomiast w cukierni Wedla na początku sprzedawano karmelki piersiowe, syrop słodowy, cukry paryskie „we własnej fabryce starannie i pięknie wyrobione”, o czym informowały gazety.

Co dziś także może nas dziwić, cukiernik był wówczas w pewnej mierze aptekarzem; Wedel reklamował karmelki na „cierpienia piersiowe” i drezdeński syrop słodowy. Kilkadziesiąt lat wcześniej cukiernik Baltresco, naprzeciwko Zamku Królewskiego, sprzedawał „ciasto do zębów chędożenia”, czyli... ciasto do czyszczenia zębów. Cukier uznawano za coś zdrowego – wiemy dziś, że jest odwrotnie. Zdrowa dla ludzi natomiast jest czekolada, ale oczywiście z umiarem i niesłodzona, czyli ta, którą nazywamy gorzką.

W tamtych czasach czekolada już w Warszawie była, ale tylko w płynnej postaci. U Wedla pojawiła się dopiero trzy lata później. Jak to było?

Wedel zaczynał od bardzo szerokiej oferty – nie tylko wspomnianych produktów

„aptecznych” (łącznie z „napojem majowym” na reńskim winie na leczenie hemoroidów!), ale przede wszystkim od ciast, z których był sławny, oczywiście z niemieckich strudli (lipskich), sucharków karlsbadzkich, ale także z bab podolskich czy – przejętych zapewne z kuchni arabskiej – pączków. Najpierw zakorzenił się na rynku, a kiedy to zrobił, skoncentrował się na czekoladzie, która była produktem najdroższym. Stał jednak wypiekał ciasta, a pączki tylko w karnawale, bo taki był zwyczaj...

Wracamy do czekolady.

Jak Pani już wspomniała, Carl zaczął produkować czekoladę kilka lat po otwarciu firmy, ale na początku była to czekolada pitna. Zresztą te lata, kiedy Carl Wedel sprowadza się nad Wisłę, to jest czas powstawania tej czekolady, jaką znamy dzisiaj, czyli czekolady w tabliczkach, która dopiero zaczynała być tworzona dzięki maszynie parowej. To także była reklama – maszyna parowa była ówczesną najnowszą technologią – to tak, jakby dziś produkować coś w kosmosie. Nic zatem dziwnego, że fabryka Wedla przez długie lata reklamowała się jako „Pierwsza Parowa Fabryka Czekolady”. Ale wówczas podstawową formą czekolady była gorzka albo deserowa, z niewielkim dodatkiem cukru. Dopiero w latach 70. XIX wieku zostaje wynaleziona czekolada mleczna. Ostatni z Wedłów, Jan, jest rówieśnikiem czekolady mlecznej, bo urodził się w tych samych latach. Rodzajów czekolad było wiele. Najdroższa była czekolada „cesarska” (precyzyjnie mówiąc, jej nazwa brzmiała „Par excellence Chocolat d'Imperial” z podwójnym smakiem waniliowym”), kosztująca tyle, co ponad 60 jajek czy ok. pół wiadra gorzałki (ówczesna miara objętości, ok. 6 litrów). Tańsza była czekolada „królewka” („Superfin Chocolat «Royal» mocno z wanilią [!] zaprawną”), dalej szły czekolady „najdelikatniejsza” i „delikatne”. Im mniej delikatna była czekolada, tym tańsza. Przypuszczalnie chodziło o stopień jej zmielenia. Trudno było uzyskać gładki, jednolity smak. Jednak nawet ta najtańsza czekolada („Delikatna Paryzka Nr 3”) kosztowała w czasach powstania styczniewo tyle, co równowartość ponad 33 funtów najtańszego razowego chleba, co stanowiło więcej, niż dniówkę robotnika.

Jak już jesteśmy przy czekoladzie, to daleko później, czyli 22 stycznia 1931 roku, powstaje „Jedyna”. Co ona Panu mówi?

Z pewnością ta czekolada powstała wcześniej, ale tego dnia została zarejestrowana

znak towarowy i etykieta. Ma Pani rację – niedługo „Jedyna” będzie obchodziła swoje stulecie. Przypomina ona o wielu niesamowitych smakach sprzed wojny – irlsach, delftach, czekoladzie dla diabetyków, czekoladzie z tranem, a nawet wedlowskiej... gumie do żucia marki „Jim”.

Nie chcę zbyt wiele zdradzać z tego, co znalazło się w książce, ale czy może Pan powiedzieć, kto ze znanych osób w XIX i na początku XX wieku gustował w wedlowskich czekoladkach?

To zadziwiające, jak cukiernia Wedla zakorzeniła się w świadomości i kulturze polskiej. Była miejscem spotkań wielu osób, co potwierdza mnóstwo źródeł. W cukierni Wedla lubili bywać Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz. Karol Szymanowski przychodził jeszcze jako dziecko, ze swoim ojcem. Podobnie kilkuletni Jarosław Iwaszkiewicz, który zostawił bardzo piękne wspomnienia ze swoich wizyt. Z kolei już w roku 1939, tuż przed tragicznym wyjazdem z Warszawy, swoją ostatnią, mrożoną czekoladę u Wedla wypił Witkacy. Było to miejsce, które kojarzyło się niemalże domowo. Do Wedla chodziło się, bo on tam zawsze był; podążał za ludźmi. Ta cukiernia zawsze była blisko. Kiedy centrum miasta było na Miodowej – tam była cukiernia. Kiedy centrum miasta przeniosło się na południe, Wedlowie przenieśli tam cukiernię. Mieli niesamowite wyczucie lokalizacji, nie mówiąc już o tym, że nie ulegali pokusie pójścia na skróty: zawsze stawali na jakość. Zachowała się wypowiedź Jana Wedla, który już po wojnie powiedział, że przepisem na sukces jest to, żeby sprzedawać tylko to, co smakuje temu, kto to produkuje. To piękne określenie dotyczące w ogóle sukcesu: żeby robić to, co się lubi. A wszyscy Wedlowie lubili swoją pracę: zarówno produkcję słodczy, jak i ludzi, bo ważnym uzupełnieniem działalności zawodowej Wedłów była ich działalność dobroczynna. Wedlowie zawsze dzielili się swoimi pieniędzmi z innymi, ale nie tylko. Angażowali swój czas na pomoc potrzebującym. Stał się rozwijali, odwoływali się do tradycji, mądrze łącząc ją z nowoczesnością – i nie zależało im wyłącznie na zarobku, czuli się odpowiedzialni za swoich pracowników i współobywateli. Od początku włączyli się w działalność dobroczynną, której poświęcali pieniądze i czas.

Wedłów było trzech: ojciec Carl, syn Emil, wnuk Jan. Janowi poświęcił Pan w książce najwięcej uwagi. Dlatego, że o Janie najwięcej wiadomo?

O Janie zachowało się najwięcej źródeł, ale on też był aktywny przez największą część trwania tego imperium, bo już od lat 90. XIX wieku.

Który z nich dla Pana jest najciekawszą postacią?

Najbardziej zagadkową jest niewątpliwie Carl, dlatego że jest najmniej źródła, które go dotyczą. Ale każdy z Wedłów jest ciekawym człowiekiem. Każdy z nich budzi sympatię. Tym niemniej staram się pokazać całość postaci. Jan Wedel, przy całej swojej ofiarności i pasji...

...był najlepiej z Wedłów wykształcony.

Tak, był doktorem chemii; doktorat obronił w 1899 roku w Szwajcarii. Jego kolegą był Chaim Weizman, późniejszy prezydent Izraela. Poznał tam, również na wydziale chemii, Ignacego Mościckiego. Ale chodziło mi raczej o to, że był też bardzo gwałtowny w reakcjach, co opisuję w książce.

Ale również bardzo skromny. Ujęło mnie to, że on pierwszy kłaniał się swoim pracownikom.

Tak jest; ale jeśli pyta Pani, który z Wedłów był dla mnie najciekawszy, to najciekawsze dla mnie wydaje się to, że oni wszyscy potrafili przezwyciężyć swoją mentalność i potrafili się uczyć. Potrafili się przyswajać do błędów. Byli przeciwieństwem przemysłowców. A wówczas, przed I wojną światową myślenie było takie, że kiedy robotnicy chcieli podwyżek, właściciel uważał to za kradzież swojego majątku. Warunki pracy były zupełnie inne niż dzisiaj. Pracowało się po kilkanaście godzin dziennie (w weekendy trochę krócej), bez prawa do urlopu, bez prawa do emerytury. Kiedy pojawiły się pierwsze protesty społeczne, budziły one szok wśród właścicieli. Pierwsze rządy II RP, a rządziła wtedy lewica, ukształtowały pod tym względem nowy krajobraz, do którego trzeba było się przystosować. I trzeba przyznać Wedłom, że bardzo szybko się do tego dostosowali. Nie wszystko było jak w bajce, dochodziło do konfliktów, w książce dokładnie opisuję zmagania Jana Wedla ze związkami zawodowymi. Mimo wszystko ostatecznie Jan wyszedł daleko poza ustawowe obowiązki. Zapewne jednak nie byłoby tego, gdyby państwo nie narzuciło wcześniej przymusu w postaci praw społecznych, których trzeba było przestrzegać. Do tego dołożyła się presja związków zawodowych oraz entuzjazm socjalistki Zofii Żołędziowskiej. W samym Janie była też jednak i życzliwość do ludzi. Wielu przemysłowców nie zrobiło przecież tego, co Wedel. Naj-

wiekszym odkryciem było dla mnie właśnie to, jak Wedlowie potrafili się uczyć. To bardzo krzepiąca historia.

Było coś jeszcze – Emil Wedel wybrał polskość, Jan nie podpisał volkslisty.

To prawda, tylko że wybrali polskość wtedy, kiedy ta Polska była słaba. To jest paradoks. Polska była podzielona trzema granicami, nie było państwa polskiego, społeczeństwo było solidarne i współtworzyło niezależne instytucje, jak chociażby szkolnictwo społeczne (pensje z wykładowym językiem polskim) równoległe do szkolnictwa państwowego. Jan nie uległ późniejszemu naciskom w czasie okupacji, ale zrobił to tak dyplomatycznie, by nie zaszkodzić pracownikom, by firma mogła działać – i także ratować ludzi z więzień, i pomagać m.in. wypiekiem chleba. Szczegółowo opisuję to w książce.

Ciekawe jest też to, że kiedy Jan wraca ze świata, wykształcony, to nie dostaje fabryki po ojcu, ale musi zacząć pracę w niej i to od podstaw. Nic za darmo.

To było charakterystyczne dla tej rodziny, Emil także zaczął jako pomocnik ojca. Jan, który wraca jako doktor,

a to znaczyło więcej niż dziś profesor, ma przed sobą karierę naukową, a nie jest nawet współwłaścicielem firmy, tylko zaczyna od dołu, żeby wszystko poznać. Podobnie swoich siostrzeńców, których szykował na następców, wysyłał do różnych działów fabryki, aby zaczynali od zera. Jeden z nich jeszcze po wojnie pracował w drażerni jako zwykły robotnik. Żaden z Wedłów nie przyjmował firmy nagle, musiał nastąpić długi czas kilkunastu lat współzarządzania z ojcem. Nie było nagłych zmian kursu, co też jest istotne.

Co Wedel ma wspólnego z Romanem Dmowskim?

Zadziwiające, że nikt do tego nie dotarł wcześniej. Otóż dzisiejsza fabryka Wedłów stoi w miejscu dwóch dawnych kamieniczek ojca Romana Dmowskiego, które zostały zlicytowane w roku 1898. Wtedy kupił je Emil Wedel. Ponad trzydzieści lat później w tym miejscu powstała fabryka, która istnieje do dzisiaj. Wedlowie spłacali długi po Dmowskich... Myślę, że to ciekawy trop, aby poszukać tu więcej, bo niezwykle interesujące mogą być sprawy majątkowe rodziny Dmowskich i ich wpływ na mentalność ideologa „narodowego egoizmu”.

W książce pokazuje Pan, że Wedlowie to coś więcej niż czekolada. Czym dzisiaj jest w Polsce nazwisko Wedel?

Oczywiście kojarzą się z tradycyjną polską marką – ale wyjątkowe jest to, że ich historia pokazuje właśnie tradycyjną wielokulturową polskość i patriotyzm polegający na wyjściu poza egoizm, na dobroczynności, na dzieleniu się swoim majątkiem, na współpracy dla wspólnego dobra, nie uzależnionej od żadnej partii. Generalnie chodziło o to, aby zmieniać rzeczywistość na piękniejszą. Czy to w słodyczach, w ich opakowaniach, w kamienicach przypominających dzieła sztuki (ale także w projektowanym osiedlu dla pracowników), czy przez działalność charytatywną, kiedy poświęcali swój czas na dbanie o biedniejszych ludzi. Wedlom nie chodziło tylko o zarobek. Oni potrafili się dzielić i pomagać. Dla mnie więc nie kojarzą się tylko ze słodyczami, ale są wzorem patriotyzmu. To bardzo piękna historia.

KSIAŻKA

Łukasz Garbał, „Wedlowie. Czekoladowe imperium”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

REKLAMA

0010372305

POŚREDNIK POŻYCZKOWY

 **GROS**
K A P I T A Ł

Weź pożyczkę

- szybka decyzja
- proste zasady
- profesjonalna obsługa

**Infolinia**
573 573 573

Biuro

 **Plac Kosynierów 22/2,**
63-130 Książ Wielkopolski

Email

biuro@groskapital.pl

Pośrednik pożyczkowy:

Gros Kapitał Invest Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp. K.
ul. Syriusza 73, 80-299 Gdańsk, **NIP** 5252570053,
Regon 146951340, **KRS** 0000654350

Adam Willma
adam.willma@polskapress.pl

Wszechświat

Kilka lat temu NASA sfinansowała prace Centrum Badań Teologicznych Princeton. 24 teologów i humanistów zastanawiało się nad potencjalnymi konsekwencjami społecznymi odkrycia życia pozaziemskiego, jak to mogłoby wpłynąć na nasze wyobrażenia o Bogu i stworzeniu świata. O tym, czy i co Biblia mówi o obcych cywilizacjach, rozmawiamy z dr. Piotrem Zarembą – bibliistą, wykładowcą języków starożytnych na UAM, tłumaczem (autor dwóch przekładów Biblii) i pastorem.

Widział Pan UFO na własne oczy?

Nie, chociaż ten temat bardzo mnie interesuje, od kiedy jako nastolatek w gablocie szkolnej Liceum nr 5 w Szczecinie przeczytałem artykuł, w którym cytowano wypowiedzi ówczesnych astronautów. Pojawiał się tam wątek zbliżającego się do ich statku niezidentyfikowanego obiektu. Niecierpliwie czekałem też ostatnio na raport wywiadu USA, który miał zdradzać szczegóły zaobserwowane przez służby amerykańskie.

Załóżmy, że człowiek wierzący staje oko w oko z przedstawicielem pozaziemskiej cywilizacji...

Dla ludzi, którzy mają kontakt z Biblią, istnienie cywilizacji pozaziemskich nie powinno być problemem. Biblia poświadcza istnienie bytów inteligentnych, i to wielu takich bytów poza pasmem egzystencji człowieka. Te doniesienia pojawiają się już w Księdze Rodzaju. Tam jest mowa o bytach, które wchodziły nawet w relacje z kobietami i z tego rodziły się szczególnie potomkowie. Myślę, że nie powinniśmy tych przekazów traktować z pogardliwym uśmiechem. Podobne doniesienia znajdujemy w przekazach pozabiblijnych. To ogólnocywilizacyjna transmisja, która może nieść takie przesłanie, że zjawiska, które nam wydają się legendarne, rzeczywiście istnieją.

Mamy ukryty wymiar chrześcijaństwa, który często z zaskoczaniem się pomija. To równoległy świat aniołów i demonów, świat niewidzialnych mocy, które jednak wpływają na ludzką codzienność.

Gdy Biblia mówi o aniołach i demonach, również nie jest w tym odosobniona. Co ciekawe, te byty były przedmiotem zainteresowa-



Dr Piotr Zaremba: Jak wyobrazić sobie ponowne przyjście Chrystusa? Kto wie, czy nie odbierzemy tego zjawiska jako spotkania z pozaziemską cywilizacją

Co Biblia mówi o innych cywilizacjach

nia Jezusa, a sam Jezus był przedmiotem zainteresowania tych bytów. Jeżeli czyta się Nowy Testament, na przykład List do Efezjan czy List do Kolosan, dowiadujemy się, że dzieło Jezusa Chrystusa ma wymiar kosmiczny, że może on być zbawcą czy „ratownikiem” w wymiarze kosmicznym. Oczywiście ten świat równo-

Biblia poświadcza istnienie bytów inteligentnych, i to wielu takich bytów poza pasmem egzystencji człowieka. Te doniesienia pojawiają się już w Księdze Rodzaju

legły jest często wstydliwie ukrywany. O ile większość z nas wierzy w jakiegoś Boga, to już z Jezusem częścią miewa problem, a wiarę w istnienie demonów odrzuca, aby nie narażać się na śmieszność. Tymczasem powinniśmy wziąć pod uwagę, że jest to słownictwo,

które wyraża pewną konwencję w judaizmie pierwszego wieku po Chrystusie. Gdyby dziś tego typu zjawiska nagle otworzyły się przed naszymi oczami, być może dziś nazwalibyśmy je „siłami wrogimi” albo „siłami przyjaznymi” i nie odczuwalibyśmy w tych słowach pokładu śmieszności.

Wierzmy nauce, która nie zajmuje się takimi zjawiskami.

Kiedyś sprawy bytów niedostępnych poznaniu człowieka były przedmiotem wiary związanej z rzeczywistością mityczną i legendarną. Potem nadeszło Oświecenie i zaczęliśmy dostrzegać wyłącznie sferę materialną. Czy gdzieś na uniwersytetach świata poddaje się dziś refleksji tę sferę? Nie, kiedyś była to sfera wiary, a teraz jest sferą niewiedzy. Być może jednak właśnie obecnie mamy do czynienia z początkiem takiej refleksji. Gdyby nagle okazało się, że za zdjęciami i raportami armii amerykańskiej, za historiami, o których czytałem jeszcze jako licealista, stoją jakieś dowo-

dy, być może wreszcie nauka potraktuje tę rzeczywistość poważnie.

Ale jak do tego wszystkiego dopasować nasz ludzki wymiar chrześcijaństwa: Marię, stajenkę, ból ukrzyżowania, śmierć, zmartwychwstanie, wniebowstąpienie? Z tej perspektywy kosmiczne opowieści o spodkach wydają się śmieszne i niestosowne.

Moja perspektywa jest zupełnie inna. Zatrzymajmy się przy sprawie wniebowstąpienia. No właśnie: gdzie jest to niebo? Ile kilometrów od nas? Ile lat świetlnych? Jak długo się tam leci? Co oznacza wniebowstąpienie? Czy Chrystus zniknął gdzieś na niebie, aż w końcu stał się niewidocznym punkcikiem? A może po prostu przeszedł w sferę niewidzialną? Jak zatem wyobrazić sobie ponowne przyjście Chrystusa? Kto wie, czy nie odbierzemy tego zjawiska jako spotkania z pozaziemską cywilizacją. Lektura Biblii takiego scenariusza nie musi wykluczać. Wiem, że dla wielu wniebowstąpienie

jest śmiesznym opowiadaniem, ale z drugiej strony fale magnetyczne również mają oddziaływanie widzialne i niewidzialne, a odczuwalne. Jeżeli istnieją różne pasma rzeczywistości, to kto wie, czy kiedyś nie okaże się, że fizyka lepiej opisuje pewne sprawy biblijne niż wydziały teologiczne. Biblia mówi o innych cywilizacjach. Nie przyjmujemy tego do wiadomości, bo chodzi nam o cywilizację podobnie „materialną” jak nasza. Nie wykluczam, że i taka istnieje. Przekonamy się o tym, jeśli nawiążemy z nią kontakt.

Ale gdzie jest w tym wszystkim Bóg, stwórca Adama i Ewy, który miał swój naród wybrany? Czy ten sam Bóg stworzył gdzieś indziej np. inteligentny ocean (jak u Stanisława Lema) albo istoty o zielonej skórze?

Myślę, że Bóg jest tam, gdzie zawsze był. Jest Stwórcą, ale nie możemy powiedzieć, że stworzył tylko to, co widzimy. Stworzył też to, czego nie widzimy, a co jeszcze zobaczymy. Współczesna fizyka wyjaśnia, że istnieją wymiary istnienia, które wcześniej były zupełnie nieznanne. To są tematy piękne i fascynujące. Gdy mówimy o Adamie i Ewie, warto pamiętać, że imię Adam oznacza „ludzkosc”. Hebrajskie słowo „Adam” nie ma liczby mnogiej i nie oznacza imienia własnego, tylko rodzaj ludzki. Opowieść o Adamie i Ewie może obrazować sposób, w jaki Bóg stworzył ludzkosc. Zwróćmy uwagę na dwa ciekawe elementy. Pierwszym jest czas. Czas, który daje nam o sobie znać. Gdy prowadzimy badania geologiczne i gdy odkrywamy archeologiczne pozostałości i datujemy je, mamy do czynienia z ogromnymi przestrzeniami czasu. W którymś momencie uchwytne historia rozplywa się w prehistorii. Z prehistorii pochodzą jednak fascynujące pozostałości. Czy to są skrawki informacji z przeogromnie długich dziejów świata i życia,



które bezpowrotnie zagięły? A może wytwory wyobraźni? Ciekawą rzeczą w Biblii jest to, że „na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”. Czy jest to początek świata, czy tylko nasz ludzki początek? To kwestia religijnej interpretacji. Z zapisu w języku hebrajskim nie da się tego rozstrzygnąć. Biblia jako taka mówi o wiele więcej niż jej zawężone interpretacje. Myślę, że informacje, których dostarczają nam archeologia i fizyka, mogą pomóc nam zrozumieć przekaz biblijny pełniej.

A co z duszą kosmity?

Dusza ludzka to nic innego jak niematerialna część człowieka. Być może duszą ludzką jest myśl, która wyraża się przez człowieka. Niedawno mieliśmy Konkurs Chopinowski, podczas którego używano fortepianów. Ale to nie fortepiany grały, tylko człowiek, który umiał wyrazić siebie za pomocą instrumentu. Człowiek jest jakby duszą fortepianu. Fortepianowi potrzebny jest człowiek, aby wydobyc z niego dźwięk. Podobnie naszemu ciału potrzebna jest dusza, która by na nim grała.

Kolonia, a może i osadnictwo na innych planetach wydaje się dziś bliskim projektem. Jak ma to rozumieć chrześcijanin, który czyta w Księdze Rodzaju: „Zaludniajcie ziemię i miejcie nad nią władzę”?

„Ziemia” to nie tylko nazwa własna. To również sfera dostępna człowiekowi. Jeżeli ta sfera powiększy się o Marsa, to w tym sensie „ziemią” będzie również Mars.

Chciałby Pan doczekać momentu, w którym potwierdzone zostanie istnienie życia poza Ziemią?

Właściwie nie mam na co czekać, bo potwierdzenie tego mam w Biblii. Niekoniecznie jednak jest to życie podobne do tego na Ziemi. Byłbym szczęśliwy, gdyby do takiego odkrycia doszło z mojego życia. Czasem mam wrażenie, że to, co się tutaj dzieje, przypomina konferencję, którą organizowaliśmy kiedyś w ogromnej hali. Osoba prowadząca poczuła, że skierowane będą w naszą stronę bardzo mocne reflektory, wskutek czego nie będziemy w ogóle widzieć sali. „Ale pamiętajcie, tam będzie kilka tysięcy osób. Uśmiechajcie się do nich, dawajcie znać, że macie tego świadomość” – poinstruowano nas. Mam wrażenie, że w tym życiu zostaliśmy umieszczeni na Ziemi jakby w świetle reflektorów wieczności. Nie widzimy tego wszystkiego, co da się zobaczyć. Myślę, że nadejdzie taka chwila, że zobaczymy – tak jak jesteśmy widziani. ©P

Wojciech Obremski
redakcja@polskatimes.pl



Filmy i seriale

- Tak naprawdę nie jestem Jasiem Fasolą, to tylko facet, któremu zawdzięczać majątek - miał kiedyś bez ogródek wypalić Rowan Atkinson, twórca chyba najbardziej rozpoznawalnej postaci komedialowej na świecie. Można tu z pewnością mówić o fenomenie - bo jak inaczej nazwać produkcję, która do dziś bije rekordy popularności, mimo że odcinków z zabawnym nieudacznikiem powstało... zaledwie 14? Niedawno minęły 32 lata od premiery pierwszego z nich.

Atkinson swoją flagową postać wymyślił podczas studiów w Oksfordzie. Początkowo miał to być Pan Biały (Mr. White), potem Pan Kalafior (Mr. Cauliflower), aż wreszcie stało na Panu Fasoli (Mr. Bean), który w Polsce zyskał także imię i znany jest nad Wisłą jako Jaś Fasola.

Jeden z pierwszych występów Fasoli miał miejsce w 1987 roku, podczas festiwalu komediowego „Tylko dla śmiechu” w kanadyjskim Montrealu. Atkinson nalegał, by pojawić się we francuskojęzycznej części audycji. Zdziwiło to twórców programu - wszak aktor w swoim monologu nie miał ani jednej francuskiej kwestii. Jak się okazało, Atkinson chciał sprawdzić, czy jego postać spodoba się na międzynarodowej scenie, z nieanglojęzyczną publicznością. Chodziło o to, by stworzyć postać zabawną dla każdej nacji, bez konieczności tłumaczenia dialogów. Chwyliło. Wkrótce brytyjska stacja telewizyjna Thames ruszyła z seriałem, a premierowy odcinek pokazano pierwszego dnia 1990 roku.

Tweedowa marynarka i pluszowy miś

Jak wiemy, Jaś Fasola to dziecięciniały dorosły, któremu najzwyczajniejsze, codzienne czynności sprawiają niemałe kłopoty, co staje się źródłem śmiechu widzów. Fasola nierzadko próbuje na pozór zwykłych rzeczy w innowacyjny sposób, co jeszcze bardziej komplikuje sprawę i nie może skończyć się dobrze. Mieszka samotnie, pod adresem Flat 2, 12 Arbor Road w Highbury i prawie zawsze można go zobaczyć w swojej charakterystycznej, tweedowej marynarskiej i wąskim, czerwonym krawacie. Zwykle nosi również zegarek z cyfrowym kalkulatorem. Najlepszym (najprawdopodobniej jedynym) przyjacielem Jasia Fasoli jest Teddy, pluszowy miś z oczami jak guziki

Jaś Fasola. Prosty sposób na rozbawienie świata



W 1997 roku Jaś Fasola trafił na duży ekran. Film, znany pod polskim tytułem jako „Jaś Fasola. Nadciąga totalny kataklizm” powstał w koprodukcji brytyjsko-amerykańskiej

i kończynami w kształcie kiełbas. Zwierzak nie ma szczęścia - często zostaje rozerwany lub oszpecony, traci oczy itp. Po zakończeniu serialu Atkinson podarował misia aktorowi i politykowi Gylesowi Brandrethowi, zaś ten przekazał go Muzeum Pluszowego Misia w Stratford-upon-Avon.

W 2008 roku, po zamknięciu placówki, maskotkę zlicytowano za 180 funtów.

Ponadto w trzech odcinkach pojawia się Irma, sympatia głównego bohatera, który uważa ją bardziej za kumpelę niż za ukochaną osobę (co dobitnie widać w odcinku świątecznym). Pan Fasola jest zmo-

toryzowany - początkowo jeździł pomarańczowym BMC Morrisem Mini 1000 Mark 2 z 1969 roku (rejestracja RNT 996H), jednak auto uległo zniszczeniu podczas powstawania pierwszego odcinka. Zastąpił je jasnozielony Mini Morris z 1976 roku (rejestracja SLW 287R), z czarnym dachem. Do promo-

cji animowanego serialu o Jasiu Fasoli (o którym poniżej), wykorzystano replikę Mini o numerze rejestracyjnym DRW 221T. Ten egzemplarz jest wystawiany w Narodowym Muzeum Motoryzacji w Beaulieu, wierną replikę pojazdu ma także Londyńskie Muzeum Motoryzacji.

Uniwersalny humor podbija świat

Kreując swojego bohatera, Atkinson wzorował się na postaci pana Hulota, czerpał też z inspektora Clouseau z „Różowej Pantery”. Widać też wpływ starych, niemych filmów - Jaś Fasola mówi bardzo mało, swoje myśli przeważnie przekazuje za pomocą charakterystycznych burczenia. Dzięki temu seria mogła być sprzedawana na całym świecie, bez znacznej pracy przy tłumaczeniu. I tak się stało: cykl zakupiły stacje praktycznie na całym globie, a pan Fasola wspiął się na wyżyny popularności. - Obserwowanie, jak dorosły facet zachowuje się w tak dziecinny sposób, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo takie zachowanie jest niewłaściwe, jest po prostu przezabawne. A dzięki temu, że produkcja opiera się głównie na stronie wizualnej, nie tekstowej, mogła odnieść tak duży sukces na arenie międzynarodowej - zauważał Atkinson w rozmowie z Radiem Times.

W czołówce Jaś Fasola spada z nieba w snopie światła. W tle słychać chórálny śpiew po łacinie „Ecce homo qui est faba” („Oto człowiek, który jest fasolą”), nagrany przez Southwark Cathedral Choir. Niektórzy interpretują tę scenę twierdząc, że Fasola jest kosmitą i został zrzuty na Ziemię. Według nich tłumaczy to nieporadność bohatera wobec najzwyczajniejszych, codziennych spraw. Serial „Jaś Fasola” nominowano dwukrotnie do prestiżowej nagrody BAFTA (sam Rowan Atkinson otrzymał trzy nominacje). Pierwszy odcinek uhonorowano w 1991 roku Złotą Różą na festiwalu Rose d'Or w Montreux. W szczytowych momentach „Fasolę” oglądało na Wyspach nawet 19 milionów widzów.

Atkinson: nie lubiłem być Jasiem Fasolą

Serial kręcono do 1995 roku. Przez ten czas powstało zaledwie 14 odcinków, plus dwa dodatkowe („W bibliotece” oraz „Na przystanku autobusowym”), których nie wyemitowała telewizja, a które można znaleźć na niektórych nośnikach cyfrowych. W 2015 roku, z okazji 25-lecia serialu, Jaś Fasola pojawił się także w epizodzie stworzonym na kanale YouTube. Co ciekawe, Atkinson niezbyt ceni postać, która przyniosła mu ogólnoświatową sławę. - Nie lubiłem go grać. Ciężar odpowiedzialności nie

jest przyjemny. A odpowiedzialność za uczynienie tej produkcji zabawną spoczywa głównie na moich barkach. Uważam to za wyjątkowo stresujące i wyczerpujące - mówił aktor w jednym z wywiadów.

Kilka lat po zamknięciu produkcji powstał animowany serial z przygodami Jasia Fasoli. Do 2019 roku powstało 156 odcinków, zaś głosu głównemu bohaterowi użyczył nie kto inny, jak R. Atkinson, któremu, jak widać, ta rola wydawała się mniej absorbująca od swojego pierwotnego wcielenia. Na początku lat dziewięćdziesiątych ukazała się też książka „Pamiętniki Jasia Fasoli”, będąca kompendium wiedzy o panu Fasoli. Nie zapomnijmy o wydanej także w Polsce w 1998 roku „Fasoli po brytyjsku” Bruce'a Dessau, czyli ilustrowanym opracowaniu ukazującym rozwój talentu, osobowości oraz kariery R. Atkinsona. Jaś Fasola jest także bohaterem wielu gier. A w 2020 roku, z okazji 30-lecia serialu, na placu Leicester w Londynie odsłonięto pomnik Jasia Fasoli.

Od wyprawy za ocean po olimpijski ogień

W 1997 roku Jaś Fasola trafił na duży ekran, i to w wielkim stylu. Film, znany pod polskim tytułem jako „Jaś Fasola. Nadciąga totalny kataklizm” powstał w koprodukcji brytyjsko-amerykańskiej, a obok Atkinsona pojawia się w nim m.in. Burt Reynolds. Obraz, w którym główny bohater zostaje omyłkowo wzięty za znawcę sztuki i wysłany do muzeum za oceanem jako ekspert, osiągnął spory sukces, także finansowy, mimo stosunkowo niewielkiego budżetu. Dziesięć lat później powstał drugi film kinowy zatytułowany „Wakacje Jasia Fasoli”, opowiadający o wakacyjnych przygodach bohatera we Francji. Tym razem Atkinsonowi towarzyszył m.in. Willem Dafoe. Produkcja nie powtórzyła jednak tryumfu poprzednika i może dlatego pan Fasola więcej na ekranach kin (jak dotąd) się nie pojawił.

Dziesięć lat temu Atkinson stwierdził, że „będąc dziecinny po pięćdziesiątce, staje się trochę smutny”, dając do zrozumienia, że to koniec Jasia Fasoli. Na szczęście w 2016 roku zmienił zdanie, mówiąc, że jego bohater nigdy nie przejdzie na emeryturę. I rzeczywiście: postać pana Fasoli jest nadal wykorzystywana w reklamach, programach komediowych czy nawet podczas otwarcia Olimpiady w Londynie - tutaj Fasola pojawił się przy dźwiękach utworu Vangelisa z filmu „Rydwany ognia”.

Jak widać nic nie wskazuje na to, by pan Fasola miał odłożyć na wieszak swoją marynarkę i krawat. A skoro tak, pozostaje mieć nadzieję na kolejne odcinki. Zatem... liczymy na pana, panie Fasola!



Fotos z filmu „Obłoki śmierci. Bolimów 2015”. Scena ataku gazowego na wojsko carskie



Fotos z filmu „Obłoki śmierci. Bolimów 2015”

Z ponurych dziejów masowego rażenia gazami trującymi

Henryk Tronowicz

henryk.tronowicz@polskapress.pl



Kino

Polski film „Obłoki śmierci. Bolimów 1915” odsłania kulisy bestialskiej zbrodni, jakiej w czasie I wojny światowej dopuściła się armia cesarza Niemiec, używając pod Bolimowem przeciw wojskom cara Mikołaja II śmiercionośnej broni gazowej.

W Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia odbył się pokaz filmu „Obłoki śmierci. Bolimów 1915”. Na projekcję przybył twórca filmu Ireneusz Skruczaj. Zapytany po projekcji, do jakiego gatunku kina można zaliczyć „Obłoki śmierci”, reżyser od-

parł, że posłużył się w filmie konwencją „dokumentalnej hybrydy”. Metoda ta umożliwiła mu miksowanie taśm prawdy z kreacją fabularną.

Obrazy makabry

Dokumentalna hybryda Ireneusza Skruczaja nie jest więc dokumentem w rozumieniu tradycyjnym. Dzieło przybliża widzowi zrekonstruowany obraz podstępnie nieludzkich form walki, jakich Niemcy dopuścili się w kampanii przeciw wojskom rosyjskim.

Twórca filmu w poszukiwaniu materiałów archiwalnych z frontów z roku 1915, przeprowadził kwerendę w zbiorach światowych filmotek i udało mu się wyłowić plik zdjęć oryginalnych.

W montażu „Obłoków śmierci” zdobyte zdjęcia spleciono z epizodami scen batalistycznych, zainscenizowanych przez Skruczaja z udziałem grup rekonstrukcyjnych. Hybrydowe kadry filmu odsłaniają piekielną makabrę.

Kwestia określenia kategorii filmu jest w tym wypadku drugorzędna. Nasuwają się kwestie stokroć ważniejsze.

Ile bowiem może istnieć jeszcze nieujawnionych, podobnych wojennych koszmarów z przeszłości, o których historycy czy publicyści wypowiadają się półgębkiem, albo nie wypowiadają się wcale.

W takim kontekście dramatycznym przykładem dociekań historyków jest brak zapisów dokumentujących na taśmie filmowej niemieckie zbrodnie popełniane w obozach masowej zagłady.

Ireneusz Skruczaj w filmie przywołuje próbkę bałamutnej oceny rzeczywistości historycznej, która łączyła się ściśle z użyciem gazów trujących w wojnie pod Bolimowem. Była to opinia wyrażona przez tłumacza polskiego przekładu powieści André Malraux „Łazarz”, Juliana Rogozińskiego, ale o tym za chwilę.

Za kogo ginęli Polacy

Miejscowość Bolimów leży 70 km od Warszawy. W latach 1914 - 1915 w bitwach pod Bolimowem zginęło 80 tysięcy żołnierzy. Prowadząca badania naukowe w tamtym rejonie dr Anna Zalewska, która opublikowała pracę „Archeologiczne przywracanie pamięci o Wielkiej Wojnie w rejonie Rawki i Bzury (1914 - 1915)”, szacuje na 100, a nawet na 110 tysięcy poległych.

Na mapie Europy nie było Państwa Polskiego, kiedy na polskich ziemiach długotrwałe boje prowadziły ze sobą potężne armie trzech zaborczych mocarstw - Imperium Rosyjskiego, Cesarstwa Niemieckiego i Austro-Węgier. Wśród poległych pod Bolimowem żołnierzy znajdowali się także - wcieleni przez zaborców do służby wojskowej - Polacy. Według dr Zalewskiej, Polakiem był co dziesiąty zabity żołnierz.

W filmie Skruczaja w scenach krwawych bitew poja-

wiają się wypowiedziane po polsku okrzyki bojowe, przekleństwa, modlitwy kornających żołnierzy.

Kiedy fikcja przysłania prawdę

Przebieg zrekonstruowanych przez Skruczaja wydarzeń spod Bolimowa był wcześniej tematem wspomnianej książki „Łazarz”. Polski przekład powieści ukazał się rok po śmierci Malraux. Tłumacz Julian Rogoziński w tekście wstępnym do przekładu stwierdził bez cienia wątpliwości: „Mamy tu do czynienia z czystą fikcją powieściową: Niemcy nigdy w Polsce gazów nie użyli. Podobnie zmyślony został pejzaż, w jakim rozgrywa się tragedia, z miejscowością o dość osobliwej nazwie »Bolgako«. Cała ta nierzeczywista dekoracja wspomaga jedynie autora w ukazywaniu rzeczywistych prawd moralnych”.

To zdumiewająca osobliwość, że tłumacz nie zadał so-

bie trudu rozpoznania źródeł inspiracji, jakimi kierował się Malraux.

Według udokumentowanych ustaleń historyków, Niemcy w okolicach Bolimowa w roku 1915 użyli chloru i fosgenu pięciokrotnie. Wcześniej, jesienią 1914 r. posłużyli się gazem trującym pod Przasnyszem.

Portret uczonego barbarzyńcy

W osobnej sekwencji Skruczaj portretuje w filmie postać twórcy śmiercionośnej broni gazowej, którym był prof. Fritz Haber, wybitny chemik żydowskiego pochodzenia. Haber w latach 1911-1933 aktywnie współpracował z niemieckim przemysłem zbrojeniowym. W czasie kierowania Instytutem im. Cesarza Wilhelma, zatrudniał kilku przyszłych laureatów Nagrody Nobla, m.in. Alberta Einsteina.

Tu, gwoli prawdy, należy wspomnieć, że Fritz Haber był współtwórcą taniej metody



Na planie filmowym, Ireneusz Skruczaj w rozmowie z aktorką Agnieszką Pałąk



Praca na planie filmowym



FOT. MAT. PROMOCYJNE

Fotos z filmu. Scena walki między wojskiem cesarskim a carskim

syntezy amoniaku i uruchomił produkcję nawozów azotowych. Epokowy wynalazek zaowocował ogromnym zwiększeniem plonów w europejskim rolnictwie, co w roku 1918 uhonorowano przyznaniem Haberowi Nagrody Nobla. Mówiono wówczas, że profesor spodziewał się kary za zbrodnie wojenne, toteż, aby ukryć wizerunek, zapuścił brodę.

Ślepotą naukowej perwersji

Żona profesora, Klara Immerwahr-Haber, również utalentowana chemiczka, wielokrotnie występowała do męża z apelem, by odstąpił od forsowania gazu na wojnie. Uży-

cie gazu było dla niej aktem oczywistego barbarzyństwa. Twierdziła expressis verbis, że to niewybaczalna perwersja nauki.

Po którymś kolejnym ostrym domowym sporze, stwierdzając beznadziejność swojej postawy, wykradła mężowi służbową broń i popełniła samobójstwo.

Haber nazajutrz udał się na front pod Bolimowem, gdzie nadzorował osobiście przygotowania do kolejnych ataków z użyciem butli z gazem.

Niesamowity dziejowy paradoks sprawił, że w roku 1946, w reakcji na wiadomość, że wszyscy członkowie ro-

dziny zostali zagazowani w Oświęcimiu, samobójstwo popełnił syn Haberów (też chemik).

Wiatr wieje kędy chce

Zachowały się słowa sformułowanej przez Habera instrukcji użycia gazu w walce na froncie: „Jak tylko wiatr będzie wiał z określoną siłą w kierunku wroga, butle powinny zostać otwarte równocześnie, kłęby trującego dymu wtedy powędrują w kierunku pozycji nieprzyjacielskich i zniszczą, lub co najmniej uczynią niezdolnym do walki, wszystko co żywe”.

Kiedy jednak w nocy z 6 na 7 lipca 1915 r. wydano roz-



FOT. MAT. PROMOCYJNE

Na planie filmowym, reżyser rozmawia z aktorami

kaz przystąpienia do kolejnego ataku przeciw rosyjskiej armii, wiatr gwałtownie zmienił kierunek i gazy uderzyły w oddziały wojska niemieckiego.

Asystujący na froncie Haberowi oficer niemieckiego wywiadu Max Wild zanotował w raporcie: „Tysiąc dwustu naszych żołnierzy padło ofiarą. Widok setek trupów nie zrobił na Haberze wrażenia”. Co więcej, oszalały profesor nie zrezygnował z dalszego doskonalenia technologicznego potencjału broni chemicznej.

Sceny ukazujące tragiczne skutki nieprzewidzianego zwrotu w militarnym natar-

ciu, Ireneusz Skruczaj przedstawia z pełną należytą wagą. W podtekście jednak wybrzmiewa ironiczna nuta mściwego losu.

Polska kinematografia wzbogaciła się o wstrząsające widowiskowe dzieło, zrealizowane z rzemieślniczą wysoką klasą. Skruczaj pozyskał do filmu grono doświadczonych ekspertów. Przed kamerą wypowiada się historyk Stanisław Kaliński, autor książki „Bolimów 1915”. Sprawy związane ze śmiercią komentuje Maciej Śliwakowski, specjalista w zakresie analizowania broni chemicznej. Za ducha swego filmu Skruczaj uważa jednak

poetę Wiesława Sokołowskiego, działacza podziemia antykomunistycznego, który - pół wieku temu - nagrywał bezcenne rozmowy z ostatnimi świadkami tragicznej bolimowskiej hekatomby.

Nie sposób wreszcie nie odnotować, że produkcja „Obłoków śmierci” została w osiemdziesięciu procentach sfinansowana z prywatnych środków Ireneusza Skruczaja. To kolejne dzieło, które nie otrzymało wsparcia instytucji teoretycznie powołanych do wspierania polskiej twórczości filmowej.

Rozpowszechnianiem „Obłoków śmierci” zajmuje się dystrybutor Best Film. ©

REKLAMA

0010386060

Poniedziałek – piątek:

od 7:30 **Polska na dzień dobry**
Poranne rozmowy na dobry początek dnia

od 9:30 **Dzień z Republiką**
Konferencje na żywo, najciekawsze materiały i komentarze

od 15:20 **Republika po południu**
Ciekawi goście i burzliwe dyskusje

od 17:15 **Wolne Głosy**
Komentarze aktualnych wydarzeń

18:30 **Dzisiaj**
Główne wydanie serwisu informacyjnego



Jeszcze więcej **informacji**
Jeszcze więcej **prawdy**
w **Telewizji Republika**

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

Marta Burdynowicz, zwycięzczyni „Voice”: Dziewczynom jest trudniej

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskappress.pl



Gwiazda

Zwycięzczynią ostatniej edycji „The Voice of Poland” została młoda wokalistka i aktorka Marta Burdynowicz. Rozmawialiśmy z nią o popularnym programie i jej planach na przyszłość.

Jak to jest mieć najlepszy głos w Polsce?

Jest przecież wiele osób, które śpiewają, a nie zgłosiły się do tego programu. Na pewno jednak jest miło wygrać „The Voice”. Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem, naprawdę się nie spodziewałam.

Zastanawiałaś się, dlaczego widzowie wybrali akurat ciebie?

Bardzo jestem wdzięczna wszystkim, którzy na mnie głosowali. Teraz spotykam się z sympatycznym odbiorem w mediach społecznościowych. Nawet na ulicach ludzie mnie zaczepiają i pozdrawiają. To ich zasługa - i za każdym razem im bardzo dziękuję. Ale dlaczego wybrali mnie? Nie mam pojęcia.

Byłaś jedyną kobietą w finale. Może to pomogło?

To raczej gorzej. Bo być jedyną dziewczyną, to trochę takie „brzemie”. Z obu stron wlewał się na mnie testosteron (śmiech). Dlatego żartowaliśmy przed finałem, że właściwie już wygrałam - bo jestem dziewczyną, której udało się najdalej dojść w tym programie. Myślę, że nie pomogło mi to w finale. Generalnie nam, dziewczynom, jest trudniej, bo jest nas więcej na rynku niż chłopaków. Tak samo działa to w teatrze - zawsze jest popyt na zdolnych facetów, bo jest ich zdecydowanie mniej. Dziewczyn jest tak dużo, że można przebierać według wzrostu i koloru włosów.

Jak świętowałaś zwycięstwo?

W pierwszej chwili zostałaam zaatakowana przez dziennikarzy, spędziłam więc z nimi nieco czasu. Potem pojechałam do hotelu, gdzie nocowaliśmy - i tam całą ekipą z programu świętowaliśmy. Oglądaliśmy powtórkę programu i wspominaliśmy najfajniejsze momenty. W końcu wróciłam do pokoju i poszłam grzecznie spać, bo rano w niedzielę miałam „Pytanie na śniadanie”, a od razu potem Radio Zet. Później jechałam do Łodzi, bo na drugi dzień miałam tam spektakl. Cały tydzień był więc mocno zajęty. Dlatego dopiero teraz zaczyna do mnie powoli docierać, co się stało.

Zgarnęłaś 50 tys. zł. Na co je przeznaczysz?

Moja pierwsza myśl była taka, że może kupię samochód i zrobię prawo jazdy. Teraz pomyślałam jednak, że te 50 tys. mogłoby być moim wkładem na mieszkanie. A może warto byłoby zrealizować dziecięce marzenie i pojechać do Disneylandu? Na razie nie wiem. Tym bardziej że jeszcze tych pieniędzy nie dostałam, więc to dzielenie skóry na niedźwiedziu.

Jaka atmosfera panowała między uczestnikami „The Voice”?

Nie wiem, jak to wyglądało w poprzednich edycjach, ale my byliśmy bardzo zgodni. Wspieraliśmy się we wszystkim. Tę rywalizację między nami można było wyczuć bardziej w social mediach w komentarzach - i to nakręcała nie przez nas samych, ale przez widzów, którzy kłócili się między sobą - każdy faworyzując swojego ulubieńca. Między nami naprawdę w ogóle tego nie było. Od razu po Przesłuchaniach w Ciemno powstała grupa na Messengerze, która działa prężnie do dzisiaj. Kiedy więc zaczęły odpadać pierwsze osoby, było naprawdę bardzo ciężko. W następnych etapach - coraz trudniej.

Na kogo byś oddała swój głos, jeśli mogłabyś głosować w finale?

Na wszystkich. Po jednym na każdego przynajmniej.

Jak to się stało, że zgłosiłaś się do „The Voice of Poland”?

Myślałam o tym od kilku edycji, niestety, mój tryb pracy mi na to nie pozwalał. Oglądałam ten program i wiedziałam, że jest na najwyższym poziomie spośród wszystkich, które są w Polsce. Zawsze zastanawiałam się: „Jak to jest tam stanąć i zaśpiewać?”. Próbowalam dostać się do ubiegłorocznej edycji, ale się nie udało. Postanowiłam więc, że może w tym roku też spróbuję. Kiedy były precastingi, uczestniczyłam w próbach do spektaklu „Kombinat” z muzyką Republiki w Poznaniu; miałam wypełniony kalendarz i o nich zapomniałam. Przypomniała mi koleżanka, która była w programie kilka edycji wcześniej. „Marta, dzisiaj czwartek, a tylko do niedzieli można wysłać zgłoszenia” - powiedziała. Kiedy jednak przyszła ta niedziela, która była pierwszym moim wolnym dniem od kilku tygodni, nie miałam siły się zebrać. „Nagrywać się czy nie?” - spytałam współlokatorów. „Koniecznie!” - odpowiedzieli i dali mi tablet. Zakwalifikowałam się.

Która część programu była dla ciebie najtrudniejsza?

Chyba Przesłuchania w Ciemno. Szło się w nieznane i nie wiadomo było, co się wydarzy. Czy nie zostanie się odprawionym z kwitkiem już na samym początku. Potem trudne były Live’y. Ale w sumie na każdym etapie człowiek się denerwował.

Widzowie uznali, że twoim najlepszym występem było

Moim sposobem na tremę jest rozmowa z samą sobą. Mówię sobie, że przecież nikt mnie nie zmusił, abym tu była

wykonanie „I Will Always Love You” Whitney Houston w finale. Ty też tak uważasz?

Kocham głos Whitney i tę piosenkę, więc to dla mnie tym większy komplement. Ja jestem zadowolona ze wszystkich swoich wykonów w programie - poza „Mam tę moc”.

Dlaczego?

Po pierwsze, weszłam na scenę w pośpiechu i dostałam zadyszki, przez co przez pierwszą część piosenki próbowałam uspokoić oddech. Po drugie - dostałam nie filmową wersję tego utworu, tylko popową w wykonaniu Demi Lovato, a one się różnią od siebie i niełatwo jest przełożyć jedną na drugą, bo mają inną dynamikę i aranż. Dlatego nie podeszło mi to.

Masz jakiś sposób na tremę?

Rozmowę z samą sobą. To swojego rodzaju autoterapia, podczas której mówię sobie, że przecież nikt mnie nie zmusił, abym wyszła na scenę. Czy tak jak w przypadku „The Voice” - że sama zgłosiłam się do tego programu i udało się, więc powinnam być szczęśliwa. Czasem trzeba wziąć głębokiego oddech. Ewentualnie pomaga też herbatka ziołowa.

A teatralne doświadczenie?

Występuję w teatrze od kilku lat, więc czuję się tam pewnie. Poza tym jestem otoczona ludźmi, z którymi gram, mogę więc liczyć na ich wsparcie. Tymczasem w „The Voice” człowiek jest sam w świetle jupiterów. W teatrze wcielałam się w jakąś postać, w programie - jestem sobą. Nie można się nikim ani niczym zastąpić. No i w teatrze jest ograniczona widownia i nikt nie rejestruje spektaklu, który potem mogą oglądać i komentować miliony widzów.

Dlaczego wybrałaś na trenerkę Justynę Steczkowską?

Bardzo ją cenię i lubię. Uważam, że Justyna ma zjawiskowy głos na skalę nie tylko polską, ale światową. Pocho-

dzi z muzycznej rodziny, ma muzyczne wykształcenie. Wie, co mówi. Zna się na tym. Ma doświadczenie sceniczne i osobowość, która bardzo mi odpowiada. Od razu poczułam pozytywną energię.

Zaprzyjaźniłście się prywatnie?

Odpowiem tak, jak Justyna odpowiedziała na to pytanie: „Na pewno jest to przyjaźń muzyczna. A co przyniesie przyszłość - zobaczymy”. Od siebie mogę powiedzieć, że na pewno prywatnie bardzo się polubiłyśmy.

Dzięki programowi masz już pierwszy singiel - „Żaden wstyd”. Jak się odnalazłaś w tej piosence?

Bardzo ją lubię. Cieszy mnie, że trafiła do serwisów streamingowych i nawet w radiu już leci. Trochę się bałam, jak będzie przyjęta. Ale stworzyłam ją z doświadczonym teamem, który mocno się mną zaopiekował.

Widzowie porównują cię po programie do Adele. Co o tym sądzisz?

Nie jestem Adele, jestem Martą. Ale jest to tak wspaniała artystka i tak piękna kobieta, że porównania te bardzo mi schlebiają. Jeśli więc ludzie chcą tak mówić, niech mówią. To miłe.

Masz już pomysł na swój debiutancki album?

Chciałabym pójść w kierunku takich wokalistek, jak Adele, Whitney Houston czy Mariah Carey. Mam wielką słabość do tego rodzaju repertuaru - przede wszystkim power ballad, w których można wylać z siebie najgłębsze emocje. Muzyka z lat 80. i 90. jest mi znacznie bliższa niż współczesna. No chyba że to wspomniana Adele czy Sam Smith. Chciałabym jednak też, żeby na tej płycie były piosenki, do których ludzie mogliby sobie potańczyć. „Żaden wstyd” jest właśnie taka rytmiczna. Jestem jednak otwarta na sugestie wytwórni, ponieważ jej ufam i wiem, że chce dla mnie dobrze.

Twoja mama jest po szkole muzycznej i gra na pianinie. To dlatego zainteresowałaś się śpiewem?

Ja tę miłość mam chyba po prostu w genach. Ale wychowanie też zrobiło swoje. Muzyka od zawsze jest wspólną pasją moją i rodziców. Wszyscy lubimy słuchać muzyki i mamy w domu całe mnóstwo kaset magnetofonowych, płyt winylowych i kompaktowych. To, że zaczęłam śpiewać, przyszło wcześniej i naturalnie.

Podobno w dzieciństwie uwielbiałaś muzyczne bajki Disneya. Były dla ciebie największą inspiracją?

Człowiek się zakochuje - i już. Ja tak miałam z bajkami Disneya. Poruszyły moje serce. Być może dlatego, że są to animowane musicale, w których się śpiewa i tańczy.

Śpiewanie mogło pozostać twoim hobby - tymczasem zdecydowałaś się na profesjonalną karierę wokalną, zdając po maturze na Wydział Wokalno-Aktorski na Akademii Muzycznej w Gdańsku. Czemu?

Długo się nad tym zastanawiałam. Rodzice się martwili, sugerowali, żebym wybrała bardziej stabilny zawód. Ja byłam jednak zdeterminowana. Po prostu nie chciałam robić czegoś, czego nie kocham. Jest takie powiedzenie: „Znajdź pracę, którą kochasz, a nigdy nie będziesz pracował”. I udało mi się to osiągnąć. Kocham też angielski, mogłabym pójść na filologię angielską. Ale studia muzyczne były czymś, o czym marzyłam.

Nie rozczarowałaś się nimi?

Mając 19 lat, niewiele wiem o życiu. Szybko okazało się, że te studia nie polegają na śpiewaniu piosenek, tylko to ciężka praca nad sobą: jako artystka i jako człowiek. Zwłaszcza zajęcia aktorskie są bardzo wymagające pod względem psychicznym. Trzeba więc przełamywać słabości i pokonywać niejedną traumę. Z kolei zajęcia taneczne to wielki wysiłek fizyczny -



Marta Burdynowicz urodziła się w 1992 roku. Aktorka, wokalistka, aktorka dubbingowa

nieraz leje się pot z człowieka i łapie się kontuzje. To nie są studia ani zawód, gdzie jest się od 8 do 16. Tym się żyje. Łatwo więc się zatracić. To niesamowicie angażujące studia. To mnie zaskoczyło - ale weszłam w ten wir i to jest to, co kocham.

Trudno ci było znaleźć pracę po dyplomie?

Miałam dużo szczęścia. Już w czasie studiów zaczęłam współpracować z Teatrem Na Plaży w Sopocie. Potem występowałam w Teatrze Nowym w Słupsku i Teatrze Muzycznym w Łodzi. Łapałam doświadczenia po drodze. Od razu po studiach udało mi się dostać do Teatru Muzycznego w Poznaniu. Zagrałam tam rolę szalonej siostry Marii Patryk w musicalu „Zakonnica w przebraniu”. Spektakl gramy do dziś i cieszy się on dużą sympatią widzów. Po niecałym roku od jego premiery dostałam się do Teatru Roma w Warszawie, później do Teatru Syrena i Teatru Muzycznego w Gdyni. Tak się to wszystko fajnie potoczyło.

Dzisiaj grasz w komediowych i w dramatycznych spektaklach. W której konwencji się lepiej odnajdujesz?

Każda rola niesie coś innego, każdy spektakl jest inny. Lubię wszystkie przedstawienia. Nigdy jeszcze nie miałam tak, by jadąc do teatru, w myślach powtarzać: „O rany, ależ ja nie cierpię tego spektaklu”. Zawsze się cieszę z tego, co kreuję i w czym gram.

Czujesz się bardziej aktorką czy wokalistką?

Jestem aktorką scen muzycznych. Tak to się dokładnie nazywa. Dzielę więc to na pół. Jeśli miałabym jednak poprowadzić warsztaty z aktorstwa i ze śpiewu, to wybrałabym te drugie. Czuję się po prostu pewniej w śpiewie.

Jesteś też wziętą aktorką dubbingową. Zainteresowałaś się tym ze względu na sentyment do bajek Disneya?

Zdecydowanie tak. Uwielbiam tę pracę. Kiedy nagrywałam ostatni wers w studiu, zawsze wzdychałam: „O nie, nie chce mi się stąd wychodzić!”.

Właściwie mogłaś pozostać aktorką musicalową i dubbingową. Co cię podkusiło, by rozpocząć też karierę wokalistki popowej?

Zgłosiłam się do „The Voice”, bo chciałam przeżyć przygodę. Ciekawiło mnie, jak program wygląda od kuchni. Zastanawiałam się, czy sobie w nim poradzę i czy nie zje mnie stres. Dopiero z czasem pomyślałam, że fajnie byłoby dobrze wypaść. Ale w ogóle nie przypuszczałam, że wy-

gram. Nawet nie wiedziałam, że stawką jest 50 tysięcy złotych. Bo generalnie jestem życiowym „nieogarem”.

Sama byłaś też już jurorką podobnego show - „Śpiewajmy razem. All Together Now”. Jak wspominasz ocenianie innych?

Bardzo źle. Ciężko być kimś, kto decyduje o ludzkim życiu. Do takich programów przychodzą ludzie, którzy mają różne cele i nastawienie. Nigdy nie wiemy, w jakim stanie psychicznym jest dana osoba. Jest to więc wielka odpowiedzialność. To samo tyczy się wypowiedzi o uczestnikach. Można jednym słowem kogoś zamknąć na zawsze. Dlatego starałam się wczuć w emocje każdego uczestnika; wyobrażałam sobie, jak to jest stanąć przed taką ścianą stu jurorów. Uśmiechałam się więc i machałam do tych ludzi, żeby ich odstresować i przekazać im choć trochę dobrej energii.

W przyszłości chciałabyś pozostać wokalistką i aktorką musicalową?

Będę się starała to łączyć. Mam znajomych, którzy działają w ten sposób i łączą karierę muzyczną z teatralną. Chcę też spróbować. Mam wiele wsparcia i zielone światło ze strony wytwórni. Nikt nie blokuje mi występów w spektaklach, a wręcz przeciwnie, słyszę: „Marta, rób to, co kochasz. Jak będziesz wolniejsza, to wpadniesz do Warszawy i wszystko obgadamy”.

Chciałabyś reprezentować Polskę na Eurowizji?

Ja na Eurowizji? To dla mnie jakiś kosmos! Mam dużą wyobraźnię, ale jak na razie coś takiego wykracza poza jej granice. Jest w Polsce wielu bardziej kompetentnych artystów z większym doświadczeniem, którzy świetnie by sobie na tym festiwalu poradzili. Ale życie mnie nauczyło, żeby nigdy nie mówić nigdy. Bardzo lubię Eurowizję i oglądam ją od dziecka.

Bardzo się zmieniło twoje życie po wygranej w „The Voice”?

Po tej wygranej zdążyłam już wystąpić w Łodzi, Gdyni, Poznaniu i Warszawie, a do tego zdubbingować kilka animacji. Dzieje się dużo. Do tego przybyły wywiady, wizyty w telewizji i radiu. Najważniejsze, co odczułam, to natychmiastowa rozpoznawalność oraz ogromny ruch w mediach społecznościowych. Moja skrzynka naprawdę aż wrze - tyle ludzi do mnie ostatnio pisze.

Czy masz kogoś bliskiego sercu, z kim możesz dzielić te wszystkie radości?

Zawsze mam wiele takich osób. Nawet aż nadto. ©©

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie – myśl Gabrieli Zapolskiej.

ROZWIĄZANIE: TYLKO GŁUPCY SIĘ NIE ZMIENIAJĄ.

Clownfish: Atronus fallaciat luvicla | stone

0010387094

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde mieszkanie, dom, w każdym stanie też udziały, zadłużone.tel. 513-474-366

MIESZKANIA - WYNAJME

POKÓJ Kuchnia (wynajem) 888600140

DOMY - KUPIĘ

ZAMIENIĘ mieszkanie po remoncie w Zielonej Górze na dom z moją dopłatą, tel. 691-702-103.

DOMY - DO WYNAJĘCIA

POKÓJ w domu na wsi(Nietków koło Zielonej Góry) dla emeryta lub rencisty, 150 zł plus niewielka pomoc w gospodarstwie. tel. 511 963 225

DZIAŁKI, GRUNTY KUPIĘ

KUPIĘ działkę bud. tel.785716467

GARAŻE

KUPIĘ garaż, tel. 609-499-555.

INNE

SKUPUJEMY udziały w nieruchomościach 500 114 019

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIĘ minikoparkę, 609-499-555.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

0 - 10.000 A auta kupię 601782501

ABSOLUTNIE nie złomuj autka. Skup aut. Transport. 791809196

AUTOKASACJA legalna, skup aut w każdym stanie, darmowy dojazd do klienta tel.601 857 328, 95-741 54 71

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

DOBRE kredyty, pożyczki, chwilówki! Park 111 parter Gorzów Wlkp. - 530 012 303

FUNDUSZ Pożyczkowy oferuje pożyczki unijne w kwocie do 300 tys. zł na 60 m-cy, oprocentowane od 2,21%, bez żadnych dodatkowych opłat i prowizji na cele związane z rozwojem działalności gospodarczej na terenie Województwa Lubuskiego. Źródło finansowania: Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego UE i Zarząd Województwa Lubuskiego Tel. kontaktowy +48 600 052 223, k.joachimczak@ecdf.pl

Potrzebujesz gotówki? Weź pożyczkę! Nr telefonu 573 573 573

Nauka

KOREPETYCJE

KOREPETYCJE, język niemiecki, wszystkie poziomy tel. 783 581 422

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY: murarz, cieśla, malarz, elektr., spawacz, betoniarz: 730011300

SZUKAM PRACY

KIEROWCA kategoria C, emeryt, doświadczenie tel. 48459008122

Zdrowie

GINEKOLOGIA

Ginekolog położnik - dr Kamila Krejczyk specjalista położnictwa i ginekologii, gabinet prywatny. Klinika Wiśniowa, Zielona Góra Anieli Krzywoń 2, rejestracja: 693440644, 68 4546445/46

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń, bez wychodzenia z domu

PRZYCHODNIE, KLINIKI

Operacje zaćmy na NFZ. Krótkie terminy. Wymagane skierowanie na operację. Laserowe usuwanie żyłaków kończyn, odbytu. Klinika Wiśniowa/SCM Urolog, Zielona Góra, Anieli Krzywoń 2, rejestracja tel. 693440644, 68/4546445, 46.

PROSTATA - wykonywanie biopsji fuzyjnej celowanej prostaty pod kontrolą Rezonansu Magnetycznego. Endoskopowe usuwanie prostaty laserem holmowym. Klinika Wiśniowa/SCM Urolog, Zielona Góra, Anieli Krzywoń 2, rejestracja tel. 693440644, 68/4546445, 46.

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

OKNA - rolety. Montaż - regulacja - naprawa. Ptasia 32/7B, 535530555

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 2 stycznia 2022 r. odszedł od nas na zawsze w wieku 80 lat nasz kochany Mąż, Tata, Dziadek i Brat

ś†p

Rajmund Witucki

Pogrzeb odbędzie się w czwartek 13 stycznia 2022 r. o godz. 13.30 na cmentarzu komunalnym w Jędrzychowie. Pożegnanie w kaplicy od godz. 13.00.

Pograżona w smutku
Rodzina

0010385595

„Gdyby nasza miłość mogła Cię uzdrowić, a łzy wskrzesić, byłbyś jeszcze z nami.

Bóg zdecydował...”

*- Przez Twą Jezu gorzką mękę
podaj duszy w czyśćcu rękę -*

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 2 stycznia 2022 r. w wieku 78 lat odeszła od nas nasza kochana Mamusia, Babcia, Siostra i Ciocia

ś†p

Janina Koniecko

Pogrzeb odbędzie się 11 stycznia 2022 r. o godz. 11:50 na cmentarzu komunalnym (starym) w Zielonej Górze. Pożegnanie w kaplicy o godz. 11:20.

Pograżona w żałobie
rodzina i przyjaciele

0010384367

Z żalem zawiadamiamy, że w wieku 67 lat odszedł od nas

ś†p **Zbigniew Brut**

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się w poniedziałek, 10 stycznia 2022 r. o godz. 13.00 Mszą Św. w kościele na Chynowie, po mszy nastąpi pogrzeb na miejscowym cmentarzu.

Pograżona w żałobie żona i synowie z rodzinami

AUTOPROMOCJA

**Wspomnienia.
Te najważniejsze...**

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę.
Sprawdź na nekrologi.net
i gazetalubuska.pl/nekrologi

0010372031

REKLAMA

0010370754

INFORMATOR POGRZEBOWY

NOWAK - LUBUSKI DOM POGRZEBOWY, Zielona Góra, ul. Grottgera 11 (obok USC). Całodobowy transport Zmarłych. Tel. 531 208 990. Usługi świadczone w ramach zasiłku pogrzebowego z ZUS

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY Zielona Góra, Masarska 13, 68-320 22 35, 68-320 22 32 przewóz zwłok, kompleksowa obsługa pogrzebów 601 798 365 całą dobę.

AD PATRES (J. Mądry) przewóz zmarłych całą dobę, bezgotówkowa organizacja pogrzebów, Zielona Góra, ul. Wrocławska 68, tel. 68-3208517, 601760685.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. 95-7810083 Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24h

WRZOS Gorzów Wlkp., ul. Borowskiego 35/1, tel. 95-7200333, 722303333 ORGANIZACJA POGRZEBÓW I POGOTOWIE POGRZEBOWE (24h).

OMNIS Gorzów Wlkp., ul. Żwirowa 76, tel. 95-7224208 www.omnis.net.pl Organizacja pogrzebów i Pogotowie pogrzebowe (24 h)

A.D Rzepeccy, tel. 605386111, Zielona Góra, ul. Chrobrego 59/4, Świdnica, Długa 25, Czerwieńsk, Chrobrego 1a. Kompleksowa obsługa pogrzebów całą dobę. Zabieranie z domu.

KAMIŃSCY, Zielona Góra, Kościelna 4, Zyty 19, przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów, 68-323 05 09, 693 424 440

SACRUM Całodobowe Usługi Pogrzebowe. W ramach zasiłku ZUS – bezgotówkowa organizacja pogrzebów tradycyjnych, kremacja. Odbiór z miejsca zgonu 24h. Transport krajowy i zagraniczny. Zielona Góra, Sulechów, Czerwieńsk i okolice. Tel. 605-511-511

REKLAMA

radio zachód

Wymagania:

- poprawna dykcja oraz emisja głosu,
- umiejętność pracy w zespole i pod presją czasu.

Oferujemy:

- Stabilne zatrudnienie (umowa o pracę).
- Rozwój zawodowy.
- Przyjazną atmosferę w zespole redakcyjnym.

W związku z dynamicznym rozwojem Radio Zachód S.A. szuka

**DZIENNIKARZY - SERWISANTÓW
ORAZ PREZENTERÓW**

Kontakt:

Na zgłoszenia zawierające Twoje CV oraz nagrania głosu czekamy pod adresem: **praca@zachod.pl**
Prosimy o dołączenie klauzuli dot. zgody na przetwarzanie danych osobowych.

Nie obawiam się grupy bankietowej

Pilka nożna

Widzę, że zespół nie funkcjonuje jako całokształt. Mentalnie musimy zbudować Legię na nowo - mówi trener Aleksandar Vuković.

Radosława Kucharskiego zastąpił na stanowisku dyrektora sportowego Jacek Zieliński. Czy to oznacza, że ustalenia, które poczyniliście przed świętami, można wyrzucić do kosza?

Jestem już w kontakcie z nowym dyrektorem, to oczywiście. Razem ustalamy kwestie, które dotyczą najbliższej przyszłości drużyny. Sytuacja jest o tyle prosta, że żadnych wielkich ustaleń wcześniej nie miałem. Po prostu zgodziłem się wrócić na warunkach, jakie miałem wcześniej podpisane.

Sądziłem, że z dyrektorami to rozmawia pan w tej chwili wyłącznie o wzmocnieniach.

Zdażyłem przedyskutować temat z Radkiem, ale Jacek też jest człowiekiem z klubu, więc bardzo dużo na ten temat wiedział. Nastąpiła zatem kontynuacja i teraz pozostało już tylko pytanie, co uda się zrealizować z tych planów. Kilku zawodników na pewno chcielibyśmy pozyskać, nie wszystko zależy jednak od nas.

Pan potrzebuje drugiego obok Artura Boruca bramkarza, prawego wahadłowego i kogoś do środka. Z kolei Zieliński zadeklarował, że chciałby mieć w zespole więcej Polaków. Czy te koncepcje są zbieżne?

Zdecydowanie tak, w tym punkcie jesteśmy zgodni. Rozsądek podpowiada, że gdy się ma podobne oferty na stole, to wybiera się zawodnika z kraju. Choćby po to, żeby tak zbilansować szatnię, aby miała możliwość funkcjonować na bardzo wysokim poziomie.

Zieliński zapatruje się pozytywnie na pozyskanie Pawła Wszołka, jak pan?

Myszę, że tak. Paweł jest za dobrym okresem gry w naszym klubie. On ma tę jakość, o którą nam chodzi. Tyle że nie jest to jedyny zawodnik na tej pozycji, z którym w tej chwili prowadzone są rozmowy. W tym momencie nie jesteśmy w stanie powiedzieć, że to właśnie Wszołek do nas trafi. Potrzebuję gotowych piłkarzy. To nie jest moment na eksperymenty.

Cel jest zupełnie inny niż zwykle, teraz Legia musi obronić się przed spadkiem.

Taka jest prawda i ja tej sytuacji nie lekceważę. Uniknięcie degradacji także jest wyzwaniem, podobnie jak walka o tytuł. Musimy po prostu wyjść z tej opresji i zapewnić sobie utrzymanie. Tak, to jest w tym momencie naszym nadrzędnym celem. A jeśli udało by się pójść wyżej, to super. I tyle.

Widzi pan w obecnej Legii lidera? Człowieka, który w trudnym momencie jest w stanie poderwać zespół?

Widzę, że zespół nie funkcjonuje jako całokształt, szczególnie w momentach niepowodzeń, takich jak utrata bramki. Dlatego potrzebujemy dużo więcej niż jednej osoby, która umiałaby na boisku reagować pozytywnie w trudnych momentach. Cała grupa musi być na to gotowa, trzeba ją mentalnie zbudować na nowo.

Dyplomatycznie pan się wypowiada, tymczasem gołym okiem widać, że gdyby Josue miał mentalność Vukovicia piłkarza, to dziś Legia nie byłaby w dołku.

Josue nie ma problemów z radzeniem sobie ze stresem. Natomiast Josue i każdy inny zawodnik potrzebuje zespołu, żeby mógł się wyróżnić. A dziś nie ma tej siły, jaką jest drużyna, z której mógłby czerpać. Dlatego moim celem jest, żeby na koniec sezonu w klubie by-

ło kilku facetów, którzy są liderami z prawdziwego zdarzenia.

A pod jakim względem jesienią zespół Legii nie wytrzymał obciążeń - bardziej mentalnym czy fizycznym?

Będę się upierał, że aspekt mentalny jest najważniejszy. Nie powiem, że jesienią brakowało wszystkiego, ale brakowało nam bardzo dużo do tego, aby tworzyć zespół, jaki chcemy mieć. Wszyscy wiemy, że wszystko było poniżej oczekiwań i standardów Legii, więc zamiast teraz rozkładać problemy na czynniki pierwsze, trzeba to po prostu naprawić.

Dlaczego Tomasz Pękhart czy Filip Mladenović jesienią przeżywali taką zapaść? Czym to wytłumaczyć?

Nie będę niczym tłumaczył. Chcę, aby nie byli cieniami piłkarzy w następnej rundzie. I zrobię wszystko, żeby ponownie prezentowali poziom, na jaki ich stać. To moje najważniejsze zadanie, żeby z Tomasa, Filipa i wszystkich pozostałych wydobyć wszystko, co potrafią. Bo że potrafią dużo, to wszyscy wiemy.

A propos team spirit - słyszałem, że były trener Legii był jedyną osobą, którą zadzwoniła do Pekharta, gdy ten złamał nos na treningu...

Zawsze wychodziłem z założenia, że relacje międzyludzkie są najważniejsze. Szacunek dajesz ty, ale i wymagasz go od partnera. Bo tylko w oparciu o takie podstawy ludzie w trudnych chwilach będą się wspierać na boisku. Poza tym każdy człowiek lubi być doceniony i na pewno zasługuje na sprawiedliwe traktowanie...

Pan miał prawo odczuwać deficyt szacunku, kiedy był pan zwalniany z Legii.

No tak, i głośno o tym mówiłem. Nie wstydzę się tamtych słów i nie wycofuję. Wówczas postąpiono nie fair w sto-

sunku do mnie w Legii. Tyle że to już daleka przeszłość, więc nie ma sensu do niej wracać.

Czy w związku z tym ponowne spotkanie z Dariuszem Mioduskim było trudne?

Nie, bo każdemu mogę spojrzeć w oczy. Unikam sytuacji, w której musiałbym przed kimś uciekać czy chować wzrok. Nie mam czego się wstydzić, więc także dzięki temu rozmowa z właścicielem przebiegała naturalnie.

Zawsze są jednak dwie strony... A nie jest tajemnicą, że w pewnym momencie Mioduski mocno polecał pana do Zagłębia Lubin. Jak zakładał - aby zejść z kosztów.

Nie odniosłem wrażenia, żeby właściciel Legii miał problem w rozmowie ze mną. Zresztą nie było tak, że zupełnie nie miałem kontaktu z prezesem, gdy odszedłem z klubu. Przeciwnie - dawał mi odczuć, że ma spory szacunek do wszystkiego, co było wcześniej zrobione. A w każdym razie nie było wrogiego nastawienia z jednej i drugiej strony. Zresztą, gdyby było inaczej, to niemożliwy byłby powrót do współpracy.

Wspomniałem o Zagłębiu, gdyż pozostając na bezrobociu, miał pan ofertę z Lubina. Były także z Płocka, Banja Luki, Arabii Saudyjskiej i Węgier.

Do mnie nie doszły żadne sygnały tylko na temat Płocka. Gdyby nie nieoczekiwany powrót do Legii, to teraz szykowałbym się zapewne do przygotowań zimowych z ekstraklasową drużyną węgierską. Powiedzmy - ze środka tabeli, choć obecnie plasuje się troszkę niżej. Miałem stamtąd propozycję, która była w zgodzie z tym, co chciałem dalej robić. Uznałem jednak, że Legia powinna mieć pierwszeństwo.

W Arabii mógł pan pracować w zespole beniaminka



FOT. BARTEK SYTA

Aleksandar Vuković z Legią Warszawa był mistrzem Polski zarówno jako zawodnik, jak i szkoleniowiec

za grubą kasę. O ile dobrze słyszałem, za 700 tysięcy dolarów za sezon...

Faktycznie, latem pojawiła się taka propozycja. Na znacznie lepszych warunkach niż w Legii. Uznałem jednak, że to niewłaściwie moment, aby wybierać tamten kierunek.

Kontynuując wątek finansowy - czy ma pan obieganą dodatkową premię za wywalczenie Pucharu Polski?

W tym momencie zdobycie Pucharu Polski jest jedynym trofeum, jakie możemy zdobyć. Dlatego nie ma sensu ukrywać - tak, mam wpisaną w kontrakt nagrodę za zdobycie Pucharu Polski z Legią.

A jakie są pańskie relacje z Markiem Papszunem? Wiem, że się znacie...

Bardzo koleżeńskie. Bardzo szanuję trenera Papszuna, uważam go za bardzo dobrego trenera, takich jest tylko kilku w Polsce. Miałem okazję dłużej porozmawiać o piłce z trenerem Rakowa, to żadna tajemnica.

Rozmawialiście już po pańskim powrocie do Legii?

Wcześniej. Domyślam się, do czego pan zmierza, więc powiem otwarcie, że nie czuję, aby ktokolwiek czał się w szatni Legii za moimi plecami. Na pewno jestem świadom planów prezesa Mioduskiego, ale kierowałem się własną motywacją, wracając na Łazienkowską. Reszty nie chcę komentować.

Mahir Emreli zostanie w Legii? Trafił pan do niego po przykrym incydencie? Czy liczy się pan z odejściem Azera?

Miałem z nim krótką rozmowę. Myszę, że bardzo pozytywną, ale nie jestem w stanie powiedzieć, czy Mahir zostanie. Na pewno będzie z nami na obozie. I mam nadzieję, że także po zgrupowaniu, bo jest to wartościowy piłkarz.

W sytuacji, kiedy brakuje team spirit, trenerzy - na przykład Jan Urban - zalecają wspólne wyjście piłkarzy na lampkę wina czy piwo. Czy w sytuacji, gdy w Legii zdiagnozowano grupę bankietową, pan będzie optował za takim rozwiązaniem?

Są różne sposoby na budowanie team spirit. To jest proces, przede wszystkim codzienna praca. Będziemy robić w tym kierunku wszystko, żeby zawodnicy znów tworzyli drużynę. We wspólnym wyjściu nie widzę jednak nic złego, ale na pewno taka jednorazowa eskapada nie rozwiąże problemu.

Rozumiem, że nie boi się pan, że grupa bankietowa się rozwinie.

Na pewno nie zaprzętam sobie tym głowy. Po prostu nie wyobrażam sobie nieprofesjonalnego podejścia zawodników w mojej drużynie. I nie boję się, że taka sytuacja zaistnieje. Zadbam po prostu o to, żeby wspólne wyjście piłkarzy było takie, jak być powinno. To moja cała odpowiedź.

GAZETA LUBUSKA

REDAKCJA
al. Niepodległości 25
65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 802, 68 32 48 600
fax 68 32 48 872
redakcja@gazetalubuska.pl
Redaktor naczelny: Janusz Życzkowski
jzyczkowski@gazetalubuska.pl

Wydawca
Robert Gorbat, rgorbat@gazetalubuska.pl
tel. 510 026 995
DZIAŁY:
Informacyjny
miasto@gazetalubuska.pl
tel. 510 026 978, 697 770 049
Magazyn Gł
molszanski@gazetalubuska.pl
Online
gloonline@gazetalubuska.pl
mkorn@gazetalubuska.pl
Sportowy
skozica@gazetalubuska.pl
kconarski@gazetalubuska.pl
tel. 519 503 695, 510 026 946, 510 026 557

ODDZIAŁY:
GORZÓW WLKP., ul. Sikorskiego 111, (Park 111 II p.),
66-400 Gorzów Wlkp., tel. 95 72 25 772, 697 770 365,
510 026 983
MIEJZDRZECZ, Dariusz Dutkiewicz,
ddutkiewicz@gazetalubuska.pl
NOWA SÓL, Eliza Gniewek-Juszczak, tel. 697 770 041
SŁUBICE, Aleksandra Pazda, tel. 510 026 985
ŚWIEBODZIN, Anna Moysiewicz, tel. 781 023 921
ZAGAŃ, Małgorzata Trzcionkowska, tel. 697 770 399
ZARY, Aleksandra Łuczyska, tel. 502 499 234
Polska Press sp. z o.o. Oddział w Zielonej Górze
al. Niepodległości 25,
65-042 Zielona Góra
sekretariat@gazetalubuska.pl
tel. 68 32 48 600, 68 32 48 802, faks 68 32 48 872

Prezes oddziału Grzegorz Widenka
tel. 68 32 48 600,
grzegorz.widenka@polskapress.pl
Marketing, tel. 510 026 990
marketing@gazetalubuska.pl
BIURA OGŁOSZEŃ
Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 111 (Park 111 II p.),
66-400 Gorzów Wlkp., tel. 510 026 986, 519 503 780
bog.gazetalubuska@polskapress.pl
Ślubice, ul. T. Kościuszki 6/1
69-100 Ślubice, tel. +48 95 75 80 760
bos@gazetalubuska.pl
Zielona Góra, al. Niepodległości 25,
65-042 Zielona Góra,
tel. 512 212 994, 510 026 976, 510 026 991
bo.gazetalubuska@polskapress.pl
reklama.gazetalubuska@polskapress.pl

Serwis prenumeratorki, tel. 68 381 70 52
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
60-175 Poznań/Skórzewo, ul. Malwowa 158,

© (P) - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gazetalubuska.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Polskie Badania Czynietywa
PBC
POLSKIE BADANIA CZYNIE TYWA

Nakład Kontrolowany ZKDP
GAZETA LUBUSKA
WYDAWCA

POLSKA PRESS GRUPA

WYDAWCA
Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes zarządu Tomasz Przybik
Członek zarządu Dorota Kania
Członek zarządu Maciej Kossowski
Członek zarządu Miłosz Szulc

Dyrektor artystyczny
Tomasz Bochenński
Dyrektor marketingu
Sławomir Nowak, slawomir.nowak@polskapress.pl
Dyrektor zarządzający biura reklamy
Maciej Kossowski
maciej.kossowski@polskapress.pl
Dyrektor kolportażu
Karol Wlazło, karol.wlazlo@polskapress.pl
Agencja AIP
kontakt@aip24.pl
Rzecznik prasowy
Adrian Majchrzak tel. 22 201 44 38,
adrian.majchrzak@polskapress.pl

Zawodnikowi Stali Gorzów wredna kość dokuczała przez cały sezon

Cezary Konarski
510 026 946
ckonarski@gazetalubuska.pl



Żużel

Z pewnością niewielu kibiców wiedziało o tym, że Szymon Woźniak, jeden z filarów Stali Gorzów, przez cały sezon 2021 ścigał się z kontuzjowaną ręką. Żużlowiec przyznał to w trakcie emitowanego w telewizji nSport+ programu „Trzeci wiraż”. – Nieźle sobie radziłem, ale złamany nadgarstek skomplikował sprawę – powiedział Szymon Woźniak.

Niespełna 29-letni Szymon Woźniak, wychowanek bydgoskiej Polonii, od 2018 roku ściga się w barwach Stali Gorzów. Sympatyczny zawodnik od kilku sezonów coraz śmielej zbliża się do ścisłej czołówki ekstraklasowych żużlowców. Przed pięcioma laty zdobył tytuł indywidualnego mistrza Polski, a na koniec sezonu 2020 wywalczył srebrny medal drużynowych mistrzostw świata w rywalizacji Speedway of Nations. Te ostatnie zawody były pechowe dla gorzowskiego żużlowca, doznał w niej kontuzji, która – jak się okazuje – dokuczała mu przez cały kolejny sezon.



Szymon Woźniak, wychowanek Polonii Bydgoszcz, od 2018 roku broni barw gorzowskiej Stali

Szymon Woźniak o swoich dolegliwościach opowiedział dziennikarzowi Marcinowi Majewskiemu w telewizyjnym programie „Trzeci wiraż”, wyemitowanym w nSport+: – Miniony sezon był lepszy od poprzedniego, ale sportowo nie jestem do końca zadowolony, bo wiem, że stać mnie na więcej. Ale mam świadomość z czym się mierzyłem prócz rywali na torze. Nie mówiłem o tym publicznie, bo nie uważałem

tego za profesjonalne. Teraz mogę powiedzieć, że cały sezon przejeździłem z niezrosniętą kością łódieczkową. Lekarze zimą zalecali, żeby tego nie operować, spędziłem więc masę czasu na rehabilitacji, żeby ta wredna kość zrosła się. Wydałem na to kupę pieniędzy i poświęciłem masę czasu. Niestety, przed sezonem, kiedy lekarze stwierdzili, że z jakiegoś powodu ta kość nie ma ochoty się zrosnąć i zalecali operację,

to ja już musiałem zaczynać sezon. Powiedziałem: teraz panowie musicie poczekać, ja muszę wykonać swoją robotę. Nie miałem innego wyjścia, jak zgryźć zęby i cały sezon przejechać z tą kontuzją. I wszystko byłoby OK, gdyby nie złamanie lewego nadgarstka w trakcie sezonu. To mocniej skomplikowało sprawę, dlatego chciałem tylko dojechać sezon do końca i z utęsknieniem czekałem na zabieg. Nie korzystałem

z żadnych leków przeciwbólowych, nauczyłem się z tym żyć, przyzwyczałem się do bólu i nauczyłem się odciążać rękę na torze i przy czynnościach codziennych. Wszystko starałem się wykonywać lewą ręką, by ta prawa służyła tylko na te – nazwijmy to – pięć minut pracy w niedzielę. I naprawdę dobrze z tym sobie radziłem, ale złamanie lewego nadgarstka skomplikowało sytuację, bo prawa ręka zaczęła odciążać lewą i wtedy zaczął się większy problem. Ale cieszę się, że sezon tak się skończył i z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że kontuzja prawej ręki nie miała wpływu na wynik drużyny.

Szymon Woźniak ciekawie opowiadał również o innych żużlowych kwestiach. Na pytanie o ewentualny powrót do Polonii Bydgoszcz mówił tak: – Aktualnie nie może być w mojej głowie takiego pomysłu. Staram się do minimum ograniczyć wybieganie w odległą przyszłość. Oczywiście życzę Polonii jak najlepiej, jest to niesamowity klub z ogromnymi tradycjami. Jestem przekonany, że wcześniej, czy później Polonia wróci do ekstraklasy, bo tam jest jej miejsce. Ale aktualnie jestem zawodnikiem Stali Gorzów, staram się wykonywać swoją pracę dla Stali, jak najlepiej. Jestem ze Stalą coraz mocniej związany ze względu

na kibiców, zarząd klubu, trenera, kolegów z drużyny, sponsorów. W Gorzowie czuję się dobrze, to jest teraz najlepsze w Polsce miejsce dla mojego rozwoju, dlatego skupiam się na tym, co czeka mnie w najbliższym sezonie. Życzę Polonii, żeby jak najszybciej wróciła do ekstraklasy, ale nie jest tak, że tylko czekam, żeby Polonia awansowała i że będę oglądał finał pierwszej ligi z kontraktem na stole. Absolutnie tak nie będzie.

Gorzowski żużlowiec mówił też m.in. o tym, że w najbliższym sezonie chciałby wspiać się na wyższy pułap sportowy. Stwierdził, że kłopoty zdrowotne będzie już miał za sobą, a na torze znów dosiadzie niezawodnego sprzętu spod ręki tunera Ryszarda Kowalskiego. Zawodnik zakłada walkę o awans do cyklu Grand Prix. – Nie będę mówił, że jeśli w nadchodzącym sezonie nie awansuję do Grand Prix, to mi się świat zawali – powiedział Szymon Woźniak. – Ale zdaję sobie sprawę z tego, że swoje klocki układam krok po kroku. Tak, jak wymarzyłem sobie swoją karierę, tak staram się ją sezon po sezonie realizować. I ta moja wieża z tych kłoców staje się coraz wyższa. Zdaję sobie z tego sprawę, że nie brakuje mi już wiele piętér, by znaleźć się w Grand Prix i spełnić swoje marzenie.

Jak Gorzów gra w Lublinie, to emocji nigdy nie brakuje

Koszykówka

Alan Rogalski
510 026 557, arogalski@gazetalubuska.pl

W XV kolejce Energa Basket Ligi Kobiet najciekawiej zapowiada się spotkanie, które nas najbardziej interesuje, a więc niedzielny mecz Polskiej Strefy Inwestycji Enei Gorzów z Pszczółką Polskim Cukrem AZS UMCS w Lublinie.

Choć w tabeli Gorzów (8 zwycięstw i 5 porażek) jest wyżej od Lublina (9 i 2), to zdecydowanymi faworytkami pojedynku są gospodynie. Obie ekipy spotkały się w tym sezonie już trzykrotnie i za każdym razem to Pszczółka była lepsza – dwa razy w EuroCup Women. Poza tym akademickom zawsze bardzo trudno grało się w hali w Lublinie i z pewnością tak będzie też w niedzielę.

Zwłaszcza że nadal niezdolna do gry jest Stella Johnson.

Amerykanka zagrała jedynie w dwóch potyczkach na początku października. Później doznała poważnego urazu stawu skokowego. – Stella powolutku zaczyna z nami trenować, ale jeszcze bez kontaktu z przeciwnikiem. Co tydzień ma konsultacje lekarskie i badania, które wprowadzają ją w układ treningu koszykarskiego. Na razie nie ma jeszcze zgody lekarza na jej grę. Czekamy z niecierpliwością na to, żeby dostała zielone światło od sztabu medycznego i żebyśmy mogli ją wprowadzać w układzie gier – powiedział trener Dariusz Maciejewski. – Musimy się cieszyć z tego, że jeszcze niedawno nie było Stelli w hali, a ciągle przebywała w gabinetach lekarskich. Teraz coraz częściej widzimy ją w hali na treningach, ostatnio już z piłką. Ostatnie dwa treningi odbyła z całym zespołem w układzie rozgrzewki. Cały



Stella Johnson wraca do treningów, ale w niedzielę nie zagra

czas utyka na tą nogę. Mamy nadzieję, że będzie wszystko dobrze. Musimy być cierpliwi. Nie zamierzamy robić jakichkolwiek ruchów transferowych, przeciwnie do wielu zespołów, które w tej chwili bardzo mocno działają na rynku transferowym.

Takie ruchy wykonała choćby Pszczółka, która spro-

wadziła belgijską skrzydłową Hanne Mestdagh w zastępstwie kontuzjowanej rozgrywanej Martiny Fassiny. Ale Włoszka wróciła do sił i z nią lublińkianki na pewno są mocniejsze. Ostatnio chora była słowacka podkoszowa Ivana Jakubcova, ale wydaje się, że klub zrobi wszystko, co możliwe, by mogła zagrać przeciw gorzowian-

kom. Tym samym miejscowe powinny być w pełnym składzie.

Wracając do naszych pań, w kadrze zabraknie nie tylko Johnson i Pauli Duchnowskiej, która w styczniu powinna przejść operację zerwanych więzadeł krzyżowych i pobocznych w kolanie, ale najpewniej także Anny Makurat. W tym przypadku klub oficjalnie się nie wypowiedział, ale wiadomo, że doznała ona urazu kręgosłupa. A warto przypomnieć, że do zespołu dołączyła z opóźnieniem spowodowanym właśnie operacją kręgosłupa.

W każdym razie w ostatnim czasie tak Gorzów, jak i Lublin są w wysokiej formie, więc to dyspozycja dnia może zadecydować o tym, która ze stron będzie triumfować. Spotkanie rozpocznie się o godz. 18.00. Transmisja w płatnym serwisie InstatTV.

SPORTOWY WEEKEND

Koszykówka

I liga kobiet: Enea AZS AJP Gorzów - Śląsk Wrocław (sobota, 14.00, hala AJP przy ul. Chopina).
II liga mężczyzn: BC Swiss Krono Żary - Nabzdyk BM Stal Ostrów Wlkp. (niedziela, 14.00, hala SP-5 przy ul. Okrzei).

Siatkówka

II liga siatkówki mężczyzn: Astra Nowa Sól - Energetyk Poznań (sobota, 18.00, hala przy ul. Botanicznej), Sobieski Arena Żagań - Joker Powiat Piłski (sobota, 18.00, hala przy ul. Kochanowskiej).

Futsal

1/32 Pucharu Polski mężczyzn: OSiR Krosno Odrzańskie - Gwiazda Ruda Śląska (sobota, 17.00, hala przy ul. Pułaskiego).

Tenis stołowy

I liga mężczyzn: ZKS Palmiarnia II Zielona Góra - Rajbud Gorzovia Gorzów (niedziela, 12.00, hala WOSiR w Drzonkowie).
(ARO)

Bardzo szkoda tego przestoju, bo zaczęliśmy łapać formę



Janusz Jasiński: Osoby, które są na kwarantannie, mają prowadzone zdalne treningi. Jakoś sobie radzimy

Szymon Kozica
519 503 695
skozica@gazetalubuska.pl



Koszykówka

Przygotowujemy się na 12 stycznia i mecz ze Szczecinem, a 13 lecimy już do Krasnojarska. Wszystkie plany są aktualne, w lutym jedziemy na Puchar Polski, będziemy chcieli zwyciężyć, obronić trofeum - zapowiada Janusz Jasiński, właściciel Enei Zastalu BC Zielona Góra. Pytamy też o zdrowie zawodników, którzy mieli pozytywny wynik testu na koronawirusa.

Zastal ma przymusową przerwę w rozgrywkach Polskiej Ligi Koszykówki i ligi VTB. Spowodowane jest to koronawirusem w zespole. W poniedziałek, dzień po meczu z Anwillem Włocławek w hali CRS w Zielonej Górze, wszyscy zawodnicy naszej ekipy przeszli testy na obecność koronawirusa. W czterech przypadkach wynik był pozytywny. Rozmawiamy

z Januszem Jasińskim, właścicielem klubu.

Jak się czują chłopaki?

Generalnie wszyscy czują się dobrze, nie ma żadnych problemów. Wszyscy są zaszczepieni, więc to bardziej jest temat lekkiej niedyspozycji, bliżej grypy niż jakiejś poważnej choroby. I druga kwestia - są nawet tacy, którzy kompletnie nie rozumieją, dlaczego mają wynik pozytywny. Ale muszą przebywać na kwarantannie, bo takie są przepisy. Natomiast nie dzieje się nic złego. Generalnie można powiedzieć, że nie widać żadnych zagrożeń.

Jak ta sytuacja wpłynęła na pozostałych zawodników, na sztab szkoleniowy?

Na pewno jest to duża dezorganizacja, bo jak się robi trening w szóstkę, to jest to bardzo trudne. Wiadomo, nie ma normalnych treningów, tylko praca nad pewnymi elementami. Osoby, które są na kwarantannie, mają prowadzone zdalne treningi. Ja-

koś sobie radzimy. Nie jest to pierwszy przypadek, bo w tamtym sezonie, w listopadzie, mieliśmy już taką sytuację. Następny mecz gramy 12 stycznia ze Szczecinem. Przedtem będziemy chcieli jeszcze sprawdzić, jak wygląda sytuacja, no i myślimy o następnych meczach.

Wiadomo, że martwi się pan o kondycję chłopaków. Ale boi się pan? Jest pan przerażony?

Nie, nie. Z punktu widzenia choroby nie jest to problem, dlatego że zawodnicy to trochę żołnierze. Ja zawsze mówię, że lekarzowi sportowemu bliżej do lekarza wojskowego niż cywilnego. On musi podchodzić na zasadzie, oczywiście, dbania o zdrowie, ale też ze świadomością, że oni jednak mają jakieś zadanie do wykonania i to są twardzi ludzie, bo sport hartuje ich w parametrach i siły, i odporności. W związku z tym nie ma tutaj żadnych zagrożeń, to - wydaje mi się - bardziej psychicznie wpływa. I też, oczywiście, oni się boją

trochę o swoje rodziny, czterech zawodników ma małe dzieci, poza tym żona Dragana Apicia jest w wysokiej ciąży, chyba już za miesiąc ma poród, więc będziemy mieli następnego zielonogórzanina.

Zastalowca!

Dokładnie. Dwa lata temu - pamiętamy - w Zielonej Górze urodził się synek Tony'emu Meierowi i już na zawsze będzie miał to wpisane w paszporcie czy jakimś dowodzie amerykańskim. Ale wracając do tematu - rozmawiamy, kontaktujemy się. Oni na kwarantannie po dwóch dniach dostaną... No, tego... (śmiech). Jak ktoś prowadzi bardzo aktywny tryb życia, to będzie problem. Dlatego fizjoterapeuta dba o nich i myślał im jakieś ćwiczenia.

Jaki będzie scenariusz na najbliższe dni, tygodnie? Gdy rozmawialiśmy ostatnio, stwierdził pan, że nie powinno się z byle powodu przekładać meczów, bo później trudno znaleźć ter-

miny na nadrobienie zaległości. W obliczu koronawirusa odwołanie spotkania to jednak konieczność.

Tak. Dwa mecze już nam wypadły: z Czarnymi i Kalevem [pierwszy był zaplanowany na środę, drugi na sobotę - red.]. Myślę, że znajdziemy jakieś dwa terminy. Natomiast przygotowujemy się na 12 stycznia, bo to jest następna data, a 13 lecimy już do Krasnojarska. To długa podróż, przedtem będą, oczywiście, robione badania, bo taki jest wymóg.

Nie załamują pana te wszystkie przeciwności losu? Koronawirus, trudności ze znalezieniem zawodnika w miejsce Brandena Frasiera... I to jeszcze w sytuacji, kiedy zespół wskoczył na niezły poziom, na wyższe obroty. Szkoda trochę takiego przestoju.

Myślę, że bardzo szkoda, bo zaczęliśmy łapać formę. Sport jest specyficzny i niekoniecznie to rozumiemy. Chciałoby teraz patrzeć na Kamila Stocha - nagle przestał skakać. Tak to jest... Forma nam się układała, dobre mecze, bo i z Legią Warszawa dosyć fajny, następny ze Śląskiem, bardzo trudny, wygrany na wyjeździe. Z Anwilem w niepełnym składzie... Może jednak element wirusa też wpłynął na ten mecz, bo niektórzy zawodnicy byli trochę słabsi. Inni, na szczęście, wzięli na siebie rolę liderów. Andy Mazurczak bardzo dobrze się zaprezentował, ale także doszedł i cały czas idzie w górę Przemek Żołnier-

Są plusy, jest trochę problemów - przez to drużyna się cementuje. Patrząc pozytywnie w przyszłość - co nas nie zabije, to nas wzmocni

wicz, odzyskuje pewność siebie. To są te plusy, trochę problemów - przez to drużyna się cementuje. Patrząc zawsze pozytywnie w przyszłość - to, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Myślę, że jednak kształtuje się nam drużyna. Oczywiście, ona wymaga wzmocnień, to wszyscy wiemy. Natomiast też trzeba powiedzieć jasno, że my nie chcemy wzmocnień dla samego faktu, tylko chcemy ta-

kiego wzmocnienia, żeby te puzzle pasowały do siebie, żeby tę układankę robić według jakiejś koncepcji, żeby nagle nie było tu jakiejś rewolucji. I co też jest ważne, co mnie najbardziej cieszy, to jest dobra atmosfera wokół drużyny - i wewnątrz, i na zewnątrz, mamy duże wsparcie od kibiców, może nawet te trudniejsze momenty dają pewną solidarność. Fajna atmosfera i fajna frekwencja były także na ostatnim meczu. Trochę żałujemy, że teraz, w sobotę, nie możemy zagrać, bo sądzimy, że też byłaby dobra frekwencja. Ale trudno, wszystkiego się nie da. Teraz, w okresie zimowym i wiosennym, czeka nas dużo meczów w Zielonej Górze, dlatego że w pierwszej rundzie graliśmy tylko pięć razy u siebie, a dziesięć na wyjeździe. W lidze VTB mieliśmy cztery u siebie do sześciu na wyjeździe, więc teraz będzie siedem do pięciu. Generalnie wiosna jest w domu.

Wiosna nasza?

Tak, i domowa. Meczów będzie bardzo dużo, kalendarz jest napięty, ale więcej spotkań u siebie, a to też służy drużynie, bo każdy zespół w domu czuje się najlepiej. No i jest mniej podróży, a one jednak męczą - może nawet bardziej niż inne elementy, dlatego że to są duzi ludzie. My, jadąc sześć godzin autobusem, mamy problem, a teraz wyobraźmy sobie, że mamy po dwa metry wzrostu...

W takim razie trzymamy się hasła „Co nas nie zabije, to nas wzmocni” i życzymy sobie zdrowia.

Tak, i wiosna nasza. Wszystkie plany są aktualne, w lutym jedziemy na Puchar Polski, będziemy chcieli zwyciężyć, obronić trofeum. Wiadomo, nie jesteśmy faworytem. Taka jest prawda, przez ograniczenia budżetowe... Nie mogę nie wspomnieć, przez dwuletni brak wspomaganie z miasta Zielona Góra, jako jedyna drużyna nie mamy takiego wsparcia. Ale damy radę, nie narzekamy.

Czasami trzeba iść pod prąd, czasami na przekór, ale robić swoje.

Dokładnie. Żeby zwyciężyć, to i tak zawsze trzeba iść pod prąd.

Dziękuję.